N. 38. WARSZAWA d. 9 (21 Września) ROKU 1872.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

EMANCYPANTKI AMERYKAŃSKIE.

Rozprawy o kwestji kobiecéj są jeszcze u nas ciągle na porządku dziennym. Zamiast tego, żeby zaprzątać się reformą kobiecego wychowania, głównie domowego, którego wadliwość jest główną przyczyną niezbyt pocieszającego stanu niewiast, zamiast tego, żeby nie spuszczając z oka psychologicznych i fizjologicznych różnic kobiety od mężczyzny, zastanowić się zdrowo nad wykształceniem kobiety na matkę rodziny, niektórzy postępowi publicyści lubią rozprawiać o obrożach, w które jakoby mężczyzni zakuli szyje kobiece. Wyzwolenie, równouprawnienie, jednakowe prawa do wykształcenia i do pracy, zupełne pod każdym względem porównanie płci obu, oto ulubione temata niebacznych apostołów, zamykających oczy na moralne względy i społeczne wymagania. W podobnych gadaninach, właściwych niedojrzałym umysłom i naturalnych poniekąd w społeczności mało i niezbyt wytrawnie cywilizowanéj, a tem samem skłonniejszéj do hołdowania krańcowym od zagranicy zapożyczonym teoryom, lubią wskazywać nam jako wzór i przykład Amerykę. Pomijając już różnice w obyczajach, warunkach społecznych, położeniu ekonomicznem i historycznych tradycjach, a wszystko to czynniki niemałéj wagi, których zbyć lada czem niepodobna, nie ulega wątpliwości, że jak z jednéj strony nie możemy jeszcze dorównać Ameryce w tem, co tam istotnie pod względem stanowiska kobiet jest dobrem, tak z drugiej strony nie brak i tam chorobliwych wybryków, których naśladowanie u nas bynajmniej nie jest pożądanem. Z Ameryki to właśnie bierze początek radykalna teorya, zupełnego porównania kobiet z mężczyznami, a potworna ta dążność i tam nie mogła nie przybrać cech chorobliwych i wstrętnych, gdyż samo założenie zawsze i wszędzie musi być wstrętnem i nienaturalnem, niezgodnem z moralnością i zdrowym rozsądkiem. Znalazłszy w jednem z pism niemieckich kilka ciekawych szczegółów o działalności niewieścich przywódców owej zupełnéj emancypacyi, podajemy je w streszczeniu naszym czytelnikom, a głównie czytelniczkom.

Kobiety, stojące w Ameryce na czele emancypacyjnego ruchu, dzielą się na trzy klasy, zwane tam żurnalistkami, lobbyistkami i lektorkami. Nazwy te, jak i rzecz sama, oryginalne i trudnoby je spolszczyć należycie, musimy je więc pozostawić bez tłómaczenia. Siedliskiem wszystkich tych trzech gatunków kobiet jest przedewszystkiem Nowy-York—ów Paryż nowego świata.

Żurnalistki (dziennikarki: jak to nam co krok o polski wyraz dla oznaczenia kobiecéj działalności trudno) stanowią zamkniętą korporację, któréj członkami mogą być jedynie kobiety, mężczyźni nie są wcale dopuszczani a i obcy goście płci żeńskiéj bardzo rzadko otrzymują wstęp na posiedzenia tego ciała. Na owych posiedzeniach toczą się długie dyskusje o równouprawnieniu kobiet, które jednak nigdy do niczego nie prowadzą, a tylko dają możność rozmaitym „niebieskim pończoszkom" (uczonym kobietom) i dojrzałym niechętnie w stanie panieńskim pozostającym dziewicom, wylewać żółć swą i miotać gniewne pociski na męzkich tyranów, którzy odpłacają się swym przeciwniczkom tem, że wszystko to w śmieszność obracają. W stowarzyszeniu tem, jak już sama jego nazwa wskazuje, większość stanowią autorki i „pisarki" wydają one nawet swój osobny dziennik, który nazywa się „Republika" pod redakcją pani Baddy Stanton. O wartości tego organu można brać z tego miarę, że spółpracownikiem jego jest niejaki Franciszek Train, znany z niezupełnie zdrowych zmysłów; artykuły tego pisarza, według wyrażenia jednego z Europejczyków, mogłyby wywołać rumieniec na twarz podoficerów od huzarów! I takie studja umieszcza organ „damski." „Lobbyistki" nazwane są tak od wyrazu „lobby" oznaczającego pokój w gmachu parlamentu, dokąd przychodzą ci wszyscy, którzy mają do deputowanych jakiekolwiek interesa. Damy, należące do kategoryi lobbyistek „muszą koniecznie być ładne, zręczne i niezbyt surowych zasad." Zadaniem ich jest szerzenie zasad emancypacyi pomiędzy deputowanymi i senatorami Stanów Zjednoczonych; często jednakże zdarza się, że te panie oczywiście za porządne honorarjum, udają się do gmachu parlamentu dla uzyskania poparcia w sprawach swych rozmaitych klijentów, niekoniecznie jakikolwiek związek mających z teorją emancypacyi. Osobliwsza taka adwokatura, rozrządzająca środkami, których nie posiadają adwokaci należący do płci brzydkiéj, jest bardzo zyskownem zajęciem. Jednéj z lobbyistek, ofiarowano za przeprowadzenie jakiegoś interesu 15 tysięcy dolarów, ale piękna pani odrzuciła z pogardą tę propozycją, twierdząc że tak błaha kwota nie opłaci jej trudów, gdyż 15 tysięcy dolarów to zaledwie tyle, ile może wystarczyć rocznie na trzewiki dla jéj dzieci!

Lektorki czyli prelegentki ciągną niemałe zyski z publicznych odczytów. W północnéj Ameryce w każdem prawie mieście są literackie stowarzyszenia, potrzebujące prelegentów, z którymi zawierają umowę o pewną liczbę odczytów. Kobiety, występujące jako prelegentki, mają powodzenie zresztą tylko wtedy, gdy są albo bardzo piękne i bardzo zręczne, albo gdy odznaczają się dziwactwem swych odczytów i szczególną powierzchownością. Pomiędzy prelegentkami nie brak i sympatycznych osobistości, jak np. pani Lukrecja Mott, osoba przeszło 70 letnia należąca do sekty kwakrów, kobieta rozumna, obdarzona znakomitą wymową, gorliwa orędowniczka praw kobiecych. Zasługuje na wzmiankę także panna Anna Dickenson, przystojna i skromna, która jeszcze w czasach wojny domowéj zyskała sławę odczytami treści politycznéj. Odczyty te tak są publiczności ulubione i uczęszczane, że jeden wieczór przynosi czasem p. Dickenson tysiąc dolarów, a niektó-

rzy przedsiębiercy zamawiają ją na rok cały. Anna Dickenson była niegdyś bardzo ubogą dziewczyną, rodem z Filadelfii; żądza wiedzy była u niéj tak silną, że pragnąc uczęszczać na odczyty Wendella Philippsa o wyzwoleniu murzynów, zarabiała sobie konieczne na opłatę wejścia pieniądze, zamiatając chodniki! Ciekawem zjawiskiem jest także panna Middy Morgan z Nowego Yorku. Z pochodzenia Irlandka olbrzymiéj postawy, ubierająca się dziwacznie, mówi wieloma językami i wiele podróżowała. Jest ona redaktorką rolniczego działu Nowoyorkskiego Times'a' nadto członkiem rolniczego i jockey klubu i słynie jako znawczyni koni: zdanie jej w kwestjach końskich jest najwyższą powagą. Panna Morgan troskliwie zajmuje się hodowlą koni i bydła, a z tego powodu zostaje nawet w listownych stosunkach z Wiktorem Emanuelem, również wielkim miłośnikiem koni.

Najosobliwszą atoli postacią pomiędzy amerykańskiemi emancypantkami jest Wiktorja Woodhull, obecnie głowa firmy bankierskiéj „Woodhull, Clafflin et Comp„ i kandydatka (na serjo) do prezydentury Stanów Zjednoczonych! Nadto, głosi ona teorję „swobodnéj miłości“ (którą szerzyła jeszcze w 1848 r. niejaka Luiza Aston), pozostaje w stosunkach ze światem nadprzyrodzonym, zkąd odbiera objawienia i jest niejako wcielonym największym *humbugiem* Ameryki. Interesująca ta prorokini, prześladowana i spotwarzana, zapewne niesłusznie, jak zwykle prorocy i apostołowie, których spółcześni ocenić nie umieją, znalazła obrońcę i biografa w osobie niejakiego Teodora Tiltona, który w dzienniku religijnym „Traktaty Złotego Wieku„ przez siebie wydawanym umieścił biografiją p. Woodhull. Dowiadujemy się z niej, że Wiktorja, siódme z kolei dziecko Roxany i Bukmana Klafflin, ujrzało światło dzienne w Homerze—miejscowości w stanie Ohio w 1838 r. Matka Wiktoryi—Roxana Klafflin miewała widzenia; ojciec był także spirytualistą, chociaż przekładał spirytus w stanie płynnym. Popadłszy w ubóstwo, oboje małżonkowie dostali obłąkania, szczególniej matka, która już to pieściła dzieci z szaloną tkliwością, już to biła je aż dostawały konwulsyi. W takiem familijnem otoczeniu chowała się przyszła prorokini; wychowanie jej było zaniedbanem, gdyż zaledwie 3 lata (od 8 do 11 roku życia) uczęszczała do szkółki, uczyła się jednak chętnie i z łatwością. Przez ten czas mieszkała u zamężnéj siostry, gdzie nie była tak poniewieraną jak w domu rodzicielskim; przeciwnie była ulubieńcem wszystkich; zawsze chętna do pracy z nieporównaną szybkością spełniała wszelkie domowe zajęcia. Już w trzecim roku życia, jak twierdzi biograf, zaczęły się stosunki Wiktorji ze światem duchów, wówczas umarła jéj mamka, Rachela Scribner i dusza mamki uniosła ze sobą duszę Wiktoryi na trzy godziny, w ciągu których dziewczynka leżała w letargu. Duszę dwóch zmarłych sióstr były ciągle przy boku Wiktoryi i dziewczynka rozmawiała z niemi, jak się rozmawia z lalkami. Mając lat 10, Wiktoryia siedziała raz u kolebki chorego dziecka i ujrzała dwóch aniołów, którzy dopóty machali rękami po nad głową dziecka, aż odzyskało ono całkowicie zdrowie. Matka zastała Wiktoryię leżącą na ziemi z zachwyconym wzrokiem w górę wlepionym. Nadto, od lat najmłodszych, zaczął odwiedzać Wiktoryią „duch przyjazny”—mąż w wieku dojrzałym, postawy wspaniałéj, w starogreckich szatach. Przepowiedział on Wiktoryi, że zostanie kiedyś sławną i bogatą, że będzie redaktorką gazety i nakoniec władczynią swego narodu (prezydentem Zjednoczonych Stanów!). Przez długi czas duch nie chciał wyjawić swego imienia, obiecując uczynić to później. W 14 roku życia Wiktoryia poznała doktora Woodhull, który uleczył ją z ciężkiéj choroby i upodobał sobie młodziutką pacjentkę. Pewnego razu doktór zaproponował jéj pójść na bal, lecz Wiktoryia nie miała trzewików i musiała sobie pierwéj na nie zarobić, zakupiwszy nieco jabłek i rozprzedawszy je potem z zyskiem. W 15 roku życia Wiktoryia została żoną doktora, ale wkrótce okazało się, że pan Woodhul był marnotrawcą i używał życia wszelkimi środkami, będąc wyzutym z honoru i ze wszystkiego co święte. Wiktoryia, po rozmaitych przejściach z powodu prowadzenia się męża, nakłoniła go do podróży do Kalifornii, ale i tam nie wiodło się małżonkom: popadli oni w nędzę i Wiktoryia była zmuszoną służyć za sklepową w składzie cygar, następnie trudniła się szyciem, a nakoniec została aktorką. Pewnego razu gdy występowała na scenie, usłyszała głos wzywający do powrotu do domu i spostrzegła wyraźnie przy sobie matkę i siostrę, które wówczas w Nowym-Yorku mieszkały; w skutek więc téj wizii, natychmiast opuściła scenę i udała się do Nowego Yorku. Po drodze w mieście Kolumbus zastała matkę i siostrę i dowiedziała się, że właśnie w chwili jéj widzenia matka mówiła do siostry: „kochanko, poślij swych duchów do Wiktoryi, ażeby ją nakłonić do powrotu.” Od tego czasu Wiktoryia miewała coraz to częstsze wizje i objawienia. Duchy (zawsze według słów biografa) kazały udać się jéj do Indjanopolis i tam wystąpić, jako *medium.* Siedm lat oddawała się Wiktoryia w tém mieście i w Terre Haute rzemiosłu jasnowidzącéj i zrobiła ogromny majątek—700,000 dolarów (przeszło miljon rubli), lecząc chorych, przywracając słuch głuchym, odkrywając złodziei i t. d. W owym to czasie duch przyjazny odkrył się Wiktoryi i okazało się, że był to ni mniéj ni więcéj jak sam Demostenes! Duch wielkiego ateńskiego mówcy, rozkazał Wiktoryi, udać się do Nowego Yorku do dokładnie wskazanego domu; posłuszna prorokini istotnie znalazła tam przygotowany na swe przyjęcie apartament, a pierwsza książka, którą przypadkiem z biblioteczki tam znalezionéj wzięła, były to mowy Demostenesa. Trudno o bardziéj przekonywający dowód, że istotnie wielki ateńczyk był z Wiktoryią. Od tego czasu Demostenes, prawi biograf, nigdy już nie odstępuje swojéj ulubionéj: on to właśnie natchnął ją wszystkiemi mowami, które wzbudzają podziw i uwielbienie słuchaczów. Po wskrzeszeniu, w liczbie innych cudów, swego zmarłego dziecka, Wiktoryia nakoniec rozstała się z mężem, nie mogąc znosić jego postępowania, a wkrótce potem zabrała w St. Louis znajomość z pułkownikiem Blood, podobnież spirytystą i potrosze jasnowidzącym. Siostrzane dusze, zrozumiały się prędko i pani Woodhul została żoną p. Blood, pomimo to, że pierwszy mąż oblubienicy żył jeszcze, a i oblubieniec był także, według amerykańskiego wyrażenia, „prawnym uczestnikiem moralnie rozwiązanego małżeństwa” to jest miał żonę, ale z nią nie żył. Powiadają, że ceremonii ślubu pomiędzy nowożeńcami dopełnili tylko „powietrzne potęgi”, choć niektórzy twierdzą, że związek zawartym został prawnie przed władzami stanu Illinois, ale wnet potem, na żądanie samych p. Blood i pani Woodhull, snać z pogardy dla form prawnych, rozwiązany został. Dość, że od tego czasu pani Woodhull i pan Blood mieszkają razem a nawet, co najdziwniejsza, przebywa u nich często i pan Woodhull, regularnie uciekający się do swojéj exmałżonki, ilekroć mu pieniędzy zabraknie. Pani Woodhull zatrzymała jednak dawne nazwisko i założyła bank, w Nowym Yorku o którym wspomnieliśmy wyżéj, a jako jego organ redaguje czasopismo pod tytułem „Tygodnik Woodhull i Claflins” Spółpracownikami tego pisma są Demostenes i inne duchy, a niedorzeczność umieszczanych tam artykułów musi być potworną, kiedy nawet sam pan Tilton, biograf i panegirysta Wiktorji, bez wątpienia dobrze płatny, nie może powstrzymać się od życzenia, ażeby spółpracownicy—duchy, więcéj troszczyli się o sens i porządek myśli. Pan Blood twierdzi, że trzy razy tygodniowo, około północy, on i żona odbywają narady z duchami. Wiktoryia ulega wówczas magnetycznemu snowi, w czasie którego czereda duchów opanowuje jéj duszę i wypowiada przez jéj usta zdania i pomysły, które p. Blood natychmiast spisuje i bez żadnéj korekty, in crudo do drukarni posyła. W ten sposób przy końcu 1869 r. Demostenes podyktował ciekawy dokument zwany memorjałem Wiktoryi Woodhull: „jest to petycja do kongresu żądająca prawa głosowania dla kobiet, jako „dla obywatelek Zjednoczonych Stanów”. Pomimo, że ludzie obdarzeni jakimkolwiek rozsądkiem, a nawet i sam p. Blood, znajdowali tę petycję niedorzeczną, a rozumowanie Demostenesa potworném i śmiesznem, udała się do Waszyngtonu, podała kongresowi petycję i broniła jéj w długiéj mowie. Wrażenie pomiędzy deputowanymi było ogromne, we wszystkich galerjach tłoczyła się publiczność, ażeby usłyszeć osobliwszego mówcę; niektórzy deputowani i senatorowie stanęli otwarcie po stronie Wiktoryi; pomimo to jednak petycja upadła. Pani Woodhull nie dała jednak za wygraną: umiała ona zyskać poparcie znanego generała Butlera i sędziego Longhridge, ludzi bardzo wpływowych, i stanowczo zwróciła się ku polityce. Cały szereg własnych, a raczej Demostenesa artykułów o polityce i finansach, wydrukowała p. t. „Zasady rządu” a następnie, snać ufając przytoczonym powyżéj Demostenesa proroctwom z których ostatnie tylko jeszcze się dotąd nie spełniło, wystąpiła jawnie jako kandydatka do prezydentury po Grancie. Zawiązał się nawet komitet zwany „Ligą Wiktoryi” pod prezydencją komandora Vanderbildta, popierający kandydaturę pani Woodhull. Niedaleki już czas wyborów pokaże, kto z trzech spółzawodników—Grant, Greenley czy pani Woodhull zajmie krzesło Waszyngtona i Linkolna. Pani Wiktoryia liczy obecnie 34 rok życia, jest wzrostu średniego, rysów twarzy dość regularnych i dość przystojna. Biegłą jest w gimnastyce, jeździe konnéj i wszelkich ćwiczeniach ciała. Wyraz jéj twarzy jest bardzo zmienny; w rozmowie najczęściéj okazuje się roztargnioną i nieśmiałą, choć łatwo i szybko ożywia się wtedy, gdy przedmiot rozmowy ją obchodzi. Co do politycznych przekonań, pani Woodhull jest radykalną demokratką, a w kwestji socjalnéj przedewszystkiem zwolenniczką swobodnéj miłości”. Główną zasadą téj teorji jest potępienie małżeństwa, nieożywionego miłością: według téj doktryny, każdy może i powinien porzucać dawne, a zawierać nowe związki, jeżeli głos serca tego pragnie.

Pomimo owego zwrotu ku polityce i swéj kandydatury, p. Woodhull nie przestaje obcować z duchami i z Demostenesem. Utrzymuje nawet, że w ostatnich czasach Chrystus dwa razy ją odwiedził. Pani Woodhull nie odznacza się wielką religijnością, i nie chodzi nigdy do kościoła: modły swe odprawia na dachu swego domu, gdzie mają miejsce także i wizje i rozmowy z duchami.

Z takich to niedorzeczności i potworności splata się dotychczasowy życiorys pani Wiktoryi Woodhull. Karjera téj osobliwszéj kobiety nieskończona; o dalszych jéj wystąpieniach i losach postaramy się w przyszłości dowiedzieć, i nabytemi wiadomościami podzielimy się z naszemi czytelnikami i czytelniczkami.

L. S. W.

ZE WSPOMNIEŃ KOBIETY

POWIEŚĆ

ORYGINALNIE NAPISANA

przez

Marją Szeligę.

(Dokończenie)

— Patrz! jak oni do siebie podobni? szepnęła pani Karolina zcicha, ale zapewne oboje usłyszeli te słowa, bo jednaki rumieniec oblał ich nagle, i w przestanku jakiejś małej pauzy, oczy ich zwróciły się na siebie wzajemnie, może szukając tego podobieństwa. Gdy po uderzeniu ostatniego akordu podali sobie ręce na podziękowanie, raz jeszcze pani Karolina pochyliła się ku mnie mówiąc:

— O! oni będą z sobą bardzo szczęśliwi!..

Potwierdziłam to w myśli, ale mimo prawdziwéj pociechy, jaką miałam patrząc na nich, nie mogłam zapomnieć o własnem biednem sercu, i nie chciałam grać bo czułam żal wielki, że nie spotkałabym na podziękowanie takiego uścisku ręki i takiego spojrzenia!...

— Czemużeś mi nic o niéj nie powiedziała?.... rzekł zamyślony Marjan całując mię na dobranoc.

— Spisek ułożony z panią Karoliną! odparłam uśmiechając się, bo odezwaniem swojem dowiódł, że wciąż o jednym marzył przedmiocie.

— Dobra, święta niewiasta, wyrzekł wzruszony.

— A Idalja?...

— Ideal! szepnął cichutko i wyszedł z pokoju prędko, jakby nie chcąc być pytanym więcéj.

Od tego dnia Marjan często przepędzał wieczór w Miłejwsi, a umiejętna ręka pani Karoliny zbliżała go z Idalją, ułatwiając bliższe poznania. Razem grali, czytali, marzyli, byli szczęśliwi, a przed sobą mieli przyszłość jeszcze zupełniejsze szczęście obiecującą.

— A my? czyż całe życie spędzimy w téj martwéj obojętności dla siebie i bólu skrytego? pytałam sama siebie nieraz gorzkiemi zalewając się łzami.

— Wola Boża! dodawałam ze smutnem poddaniem się.

Może niedługo przeniosę się do świata innéj szczęśliwości, może Bóg zlituje się nad cierpiącą!

Wieczory, baliki, zmuszały mię do wyjazdów ciągłych, a tem samem nieco rozrywały. Pani Karolina powierzała mi Idalję, i wszędzie bywałyśmy razem. Karnawał był bardzo ożywiony musiałam tańczyć, stroić się, co sprawiało mi przykrość wielką ale uważałam to za konieczne.

Na jednym wieczorze zebranie było bardzo liczne i wesołe. Idalja wyglądała prześlicznie, obiedwie tańczyłyśmy bardzo wiele, lecz ja widząc chmurną twarz nietańczącego Jarosława, byłam smutną pytając się ciągle siebie, czy nieobecność Dosi, mającéj podług terminu jechać nazajutrz do klasztoru, nie wpłynęła na ten humor ponury. Gdyby nie wzgląd na Idalję i Marjana, tańczących prawie zawsze razem i zachwyconych zabawą, byłabym wyjechała bardzo wcześnie. Ale wypadło zostać, tańczyć zamówionego mazura, i podać grzecznie rękę Amilkarowi do kontredansa. Amilkar wydawał się wzruszonym, wbrew zwyczajowi długo milczał, nakoniec rzekł:

— Wiem ważną tajemnicę, która zbliska panią dotyka.

— Tak?.. odpowiedziałam obojętnie.

— Powierzyła mi ją wczoraj pani Dorota!

Mimowolnie zadrżałam.

— Jutro popołudniu będę w Klonowie, aby ją pani powtórzyć! ..

Milczałam.

— Pani pozwala?

— Dobrze! odparłam z wysiłkiem.

Pomimo chęci wewnętrzna walka odbiła się na méj twarzy. Jarosław przyszedł pytając niespokojnie.

— Janko! czy ci słabo? tak zbladłaś straszliwie.

— Nic mi nie jest, odrzekłam zimno.

Wracając z przykrością słuchałam wesołego szczebiotu mojej ślicznéj pary. Byłam strasznie rozdrażnioną i bałam się czegoś. Co ona mogła powierzyć i jaka to ważna tajemnica?

Dlaczego Amilkar tak łzawo mię żegnał, co mi powie jutro? Pytania te cisnące się do méj głowy tłumnie, męczyły mię okropnie, a nie mogłam znaleść uspokojenia.

Nazajutrz w południe odjechała Idalja, późniéj Marjan pospieszył do Miłejwsi.

Jarosław jak zazwyczaj siedział w swoim pokoju, a ja oczekiwałam zapowiedzianéj wizyty ze drżeniem, wpatrując się w automatyczny ruch zegara, wskazującego trzecią godzinę. Ledwie przebrzmiały dźwięki jego uderzeń, gdy zaturkotał koczyk Amilkara, i w chwilę potem, on sam, z uroczystą miną wszedł do salonu.

Kilka minut przeszło na zwykłych formach powitalnych i nic nieznaczących frazesach. Nakoniec Amilkar obejrzał się w około starannie, i rzekł przysuwając nieco swoje krzesło do mojego fotelu..

— Co pani wolisz, czy niepewność bolesnych przypuszczeń, czy smutną rzeczywistość?

— Wolę rzeczywistość, odparłam cicho.

— Dobrze, oznajmiłem pani, że posiadam tajemnicę...

— Czyją?...

— Pani Doroty. Jestto historja jej miłości!

— I pan chcesz ją wyjawić?

— Tak! ponieważ w téj historji bohaterką jest pani Dorota, ale bohaterem, ktoś bliżej panią obchodzący. Lecz zacznę porządkiem, i postaram się być zwięzłym.

— Prosiłabym o to, rzekłam głucho.

— Pani Dorota poszła za mąż bez przywiązania, poprzednio była wychowaną......

— Do pójścia za mąż znane mi są wypadki jej życia—przerwałam szybko.

— A więc, zostawszy żoną człowieka starego, zazdrosnego, który bynajmniéj nie pozyskał wraz z ręką jej serca; piękna Dosia przesycona ulotnemi hołdami jakich odbierała mnóstwo, zmęczona zazdrością chorego męża, zapragnęła nowości jakiejś, mogącéj zapełnić długie dnie jej życia lekkiego jak życie motyla. Tą nowością, była dla niéj miłość szalona, gwałtowna, namiętna, wulkaniczna, a jak jej cała istota, oryginalna w wyborze. Przedmiotem tej miłości, był młody, młodziuchny kuzynek, który przyjechał na ferje z uniwersytetu... imię jego...

— Opuść pan imię! zawołałam.

— Przypuśćmy pan X. lub Z. Natura jego chłodna, poważna, stanowiła przeciwieństwo z szaloną Dosią. Pokusa jednak była zbyt silną, uległ, pokochał, a choć potem wiele zmian zaszło, nic go z tego uczucia, które owładnęło jego zimnem sercem wyleczyć nie zdołało. Dla takich ludzi miłość, to jak tyfus dla niechorujących nigdy, zawsze bywa razem śmiertelnym.

— A potem?.. wyjąknęłam.

— Potem... w skutku chwilowego nieporozumienia p. X. ożenił się, ale nawet anielskie wdzięki jego żony, nie zdołały zatrzeć w nim śladu pierwszéj miłości. Wkrótce po ślubie powrócił do dawnych stosunków.

— Dowody!—gdzie dowody na to? zawołałam z mocą.

— Dowodem jest jego postępowanie. odparł śmiało Amilkar.

— Zkąd pan o tem wie? zapytałam nieprzytomnie...

— Pani Dorota chcąc powrócić szczęście biednéj zawiedzionéj niewinnie kobiecie, usuwa się do klasztoru, chcąc resztę życia spędzić świętobliwie, lecz przed wyjazdem powierzyła mi te szczegóły, a ja będąc przejęty dla pani prawdziwą przyjaźnią i uwielbieniem, uważałam za konieczne wyświetlić pani jej położenie.

Zasłoniłam twarz dłonią, odurzona, przygnieciona ciosem straszliwym. Czasem w umyśle moim przebiegł promyk wątpliwości i nadziei, ale natychmiast nikł pod nawałem podejrzeń zgadzających się z faktami. Zapomniałam o obecności Amilkara, milczałam a łzy palące płynęły po méj twarzy, łzy cierpienia i zawodu.

— Czyż nic nie wstrzyma tych łez djamentowych wylanych dla niewdzięcznika? Nic zakrwawionego serca nie ukoi? spytał cicho Amilkar delikatnie ujmując moją rękę.

— Oh! rzekłam mimowolnie chwytając się za serce tam strasznie boli!

— Boli mówił daléj słodziutko i pochylił się bliżéj, biedny mój aniele!..

Cofnęłam się zdziwiona, zmięszana. Oznaka współczucia wydała mi się za daleko posuniętą. Nagle Amilkar osunął się do stóp moich, i zatrzymał w swych rękach obie moje ręce.

— Janino! pani!.. wyszeptał, niech uczucie moje będzie balsamem na to serce zranione... kocham cię nad wszystko, potrafię ocenić ten skarb szczęścia uroczego.....

Zerwałam się oburzona, drżąca. Silnym rzutem w tył wyrwałam moje ręce, i nie mogąc wyrzec słowa, zmierzyłam go tylko wejrzeniem pogardy.

Amilkar klęczał jeszcze chwilkę.

— Pani! rzekł, tyś zdradzoną, ja cię kocham! bądź mi wzajemną, a miłość moja.....

— Milcz! zawołałam w uniesieniu, jak pan śmiesz?

— Pani....!

— Oh! wyjdź pan, wyjdź ztąd, gdzie byłeś przyjmowany jako przyjaciel! Wyjdź natychmiast!

— Pani! przerwał Amilkar, zkąd ten gniew i niełaska? Czy niewiedziałaś o mojem uczuciu? Czyż dopiero słowa moje dały ci je poznać po raz pierwszy?..

— Jakto? sądziłeś pan więc,... i niedokończyłam bo rumieniec wstydu i łzy twarz mi oblały. Podniosłam głowę i nieukrywając ich rzekłam zimno.

— Widzisz pan jakie wzbudziłeś we mnie uczucie, oto wstrętu, pogardy i oburzenia.

Jestem nieszczęśliwą, ale nie zasługuję aby mi ubliżano w ten sposób. Kocham mego męża i kochać go nie przestanę nigdy.

Nie mogłam mówić daléj, upadłam na kanapkę, ręką wskazując osłupiałemu Amilkarowi na drzwi, któremi też wyszedł natychmiast gryząc wargi.

Złamana, bezsilna! oparłam głowę o poduszkę kanapki. Nagle portjera dzieląca salon od dalszych pokoi drgnęła targnięta gwałtownie, i Jarosław, blady ale z promieniejącą twarzą, ukazał się niespodzianie.

Bezwiednym ruchem wyciągnęłam doń obie ręce. Jednym skokiem znalazł się tuż przy mnie, ukląkł przedemną i długo całował kraj mojej sukni, moje ręce, wszystkie palce koleją, i tulił

mnie w objęciu. Nie mówiliśmy ani słowa, ale jam zapomniała o podejrzeniach i opowiadaniu.

Jarosław mię kochał, widziałam to i szczęśliwa płakałam na jego piersi. I tak wypłakałam ostatek łez gorzkich, a słodkie miłe łzy radości płynęły po méj twarzy uśmiechniętéj szczęściem.

— Więc ty mię kochasz, najdroższy mój? spytałam nakoniec.

— Ty się pytasz? Och! posłuchaj aniele mój....

Jam winny, bom zwątpił o tobie, lecz i ty nieufałaś mojéj miłości.

— Tyś zwątpił o mnie? W czem?—pytałam.

— Janko moja! jam wierzył, że kochasz Amilkara! W tem mniemaniu utwierdziła mię Dosia, a poparło twoje postępowanie.

— Moje postępowanie? zawołałam zdziwiona i zasmucona.

Tu Jarosław opowiedział mi różne szczegóły utwierdzające go w okropnem podejrzeniu nasuniętem mu przez kuzynkę Dosię. Przypomniał ów pocałunek ręki w ogrodzie, i częsty taniec, i wreszcie dzisiejsze rendez-vous—które go przywiodło do ostatecznéj rozpaczy. Stojąc za firanką słyszał całą rozmowę przygotowany na inną zupełnie i dopiero w téj chwili poznał powód mego smutku i obojętności,—Dotąd bowiem nie przypuszczał, abym go o miłość do Dosi posądzić mogła.

— Tak jak ja nie myślałam o podejrzeniu twem co do Amilkara! wymówiłam z żalem.

— Zgrzeszyliśmy oboje Janko i odpokutowaliśmy bardzo, ale teraz już będziemy się znali lepiéj, i nic naszéj nie zamąci miłości! Lecz jam winien więcéj, bo uważając cię za dziecko, obawiałem się zrazić ciebie szczerą spowiedzią przeszłości, a potem obwiniałem cię anielską istotę o płochość i niewierność. Ale teraz przebaczysz mi mój aniołku śliczny? mówił Jarosław z czułością.

— Zobaczymy!—odparłam wspaniałomyślnie i objęłam go w uścisk gorący.

— Posłuchaj teraz kochanko moja, dziś ci powiem wszystko.

— Nic nie chcę wiedzieć! zawołałam zasłaniając jego usta dłonią. Kochasz mię? to dosyć jam szczęśliwa!

— Moja ukochana posłuchaj, abyś znała do głębi dzieje serca, wyłącznie i całkowicie do ciebie należącego.

— Kiedy Dosia do nas przyjechała, zaczął Jarosław, byłem jeszcze zbyt młodym, aby na mnie mogła wywrzeć głębsze wrażenie. Widywaliśmy się rzadko, ja kończyłem szkoły potem pojechałem do uniwersytetu, a ona poszła za mąż, i parę lat minęło bez żadnéj bliższéj znajomości. Drugiego roku mego pobytu w uniwersytecie, przyjechałem na wakacje do Woli, i nie zastawszy rodziców, nudząc się, oddałem wizytę kuzynce, któréj mąż dogorywał w strasznych cierpieniach. Dosia bawiła się wybornie, mimo zbliżającéj się do domu śmierci. Była jednak napozór dłań dobrą żoną. Miałem lat 19 ona 23, ale ładna, żywa, zalotna, potrafiła owładnąć mną, oczarować, zachwycić wdziękiem słów i postaci, lubo bardzo długo opierałem się temu urokowi.

Walcząc z sobą—nie okazałem jéj nigdy nic nad zwykłą przyjaźń kuzyna,—a siebie usiłowałem przekonać, że istotnie innego nie wzbudza we mnie uczucia. Ale ona plątała mię wciąż zdradną siecią względów szczególnych, wyraźnem przekładaniem nad dotychczasowych wielbicieli, czem naturalnie niszczyła moje piękne postanowienia.

Pewnego dnia przybyłem do Drzewnéj i zastałem ją jak zazwyczaj otoczoną młodzieżą z cygarettą w ustach ale ciemno ubraną, i niby smutną. Wkrótce kwaśną minką i tysiącznemi kaprysami pozbyła się wszystkich. Powstałem i ja chcąc ją pożegnać, bo sądziłem, że zły humor stosuje się do całego towarzystwa. Lecz ku wielkiemu podziwieniu mojemu ona szepnęła stanowczo.

— Pozostań!

Zostałem. Goście odjechali, siedzieliśmy we dwoje w saloniku, obok którego był pokój jéj męża drzemiącego gorączkowo. Mrok zapadał długo milczeliśmy oboje, Dosia powstała, otwarła okno—i rzuciła się na małą kanapkę. Obok niéj stał mały taborecik wskazała mi go mówiąc.

— Chodź bliżéj!

Usiadłem na taboreciku, i tym sposobem znalazłem się u jej kolan. Milcząc gryzłem wargi—a gdy uczułem jéj dłoń na mojem ramieniu, drgnąłem jak rozpalonem dotknięty żelazem.

— Boisz mi się? szepnęła nachylając ku mnie głowę.

Nie mogłem się zdobyć na odpowiedź.

— Nie bój się....bo ty jeden tylko pozyskałeś to, o co inni błagają w pokorze.....mówiła cicho pochylając się coraz bardziej. Ty nie wiesz....Jarosławie nic!... nie słuchaj mię wcale!.. zawołała cichutko i chciała cofnąć rękę, wspartą na mojem ramieniu.

Głowa mi się zawróciła, i w piersiach zapłonęło. Chwyciłam jéj obie ręce i cisnąc do ust, powtarzałem bezprzytomnie.

— Kocham cię!.. kocham!..

— Kocham!.. odparła Dosia i dotknęła ustami mego czoła.

Głęboki jęk przerwał nam chwilę zachwytu. Mimowoli zerwałem się od jéj stóp jak oblany zimną wodą—a ona rzekła spokojnie:

— Leon się obudził.

Równocześnie słaby złamany głos zawołał: Dosiu!...

Pobiegła lekko a ja bezwiednie postąpiłem za nią. Usiadła przy łóżku chorego i spytała się głosem zwyczajnym, jak się ma teraz?

— Nie dobrze,—stęknął chory. Gdzie byłaś tak długo? Czy goście pojechali?

— Tylko kuzyn Jarosław pozostał.

— Tobie milej w towarzystwie młodych i zdrowych jak ty sama? Ty się pragniesz wyzwolić z więzów? O! zaczekaj, umrę niedługo,—ale póki żyję Dosiu! pamiętaj!...

Tu głosu mu brakło. Upadł na poduszki bezsilnie....

— Mój Leosiu, uspokój się....mówiła zimno Dosia.

— O! bo ja cię kocham, kocham więcéj niż za lat młodych pierwszą kochankę. Miej litość.....och! ja cię tak kocham jak szaleniec....ta miłość odbiera mi życie i truje chwile ostatnie!..

Płacz spazmatyczny szarpał jego piersią.

Służąca podała mu krople, otarła jego skronie, Dosia stała jak posąg nieporuszona, a jednak to była scena straszna i wzruszająca do głębi.

Uciekłem bez pożegnania. Obraz dopiero co widziany ścigał mię niedając pokoju. Czułem się występnym, brzydziłem się samym sobą i dopiero po przyrzeczeniu uroczystem własnemu danem sumieniu, że do Drzewnéj już więcéj nie pojadę, lżéj mi się na sercu zrobiło. W kilka dni Dosia napisała do mnie z wyrzutami. Odpowiedziałem jéj listem żegnającym na wieki. Potem wyjechałem do uniwersytetu i miłość moja dla niéj, w samym początku ochłodzona i stłumiona zupełnie zagasła w méj pamięci, bo w sercu zapewne nigdy nie była.

Mąż Dosi w tymże roku umarł, zapisując jéj cały majątek. Gdy ją ujrzałem potem, było to już w końcu żałoby i dawała mi do zrozumienia, że jest wolną, i stałą. Udałem że nie słyszę słów wabiących, bo przypomnienie biednego starca przejmowało mię dreszczem, i nie pozwoliło nawet chwilowo powrócić do dawnych stosunków, które uważałem za błąd plamiący kartę mego życia. Raz przyszło do szczerych wyjaśnień nawet, bo Dosia wprost mnie zapytała.

— Kochasz mię?

— Nie!—odparłem.

Zapłonęła i rzekła zaciskając usta.

— Ha! pamiętaj że zemsta i nienawiść moja dorówna mojéj miłości, która była prawdziwą i wielką!

Zadrżałem na akcent jéj słów, ale nie były to ostatnie jakie do mnie wyrzekła. Odtąd zmieniła się całkiem, była dla mnie zalotną, wabiącą drażniła mię, zaczepiała, czasem robiła smutną minkę ale uważałem że pocieszyła się prędko i spokojny kończyłem nauki. Potem Janko najmilsza poznałem ciebie i pokochałem prawdziwie, jako anioła różnego zupełnie od znanych mi kobiet, które wzbudzały we mnie wstręt i nieufność.

Dosię widywałem mało, wypytała się o moją narzeczoną i bardzo swobodnie mówiła o tej nowinie.

Niesłychana jéj serdeczność dla ciebie, budziła podejrzenia w mej głowie, ale wyrzucałem sobie taką myśl, i widząc jéj przyjaźń oraz częste dwuznaczne słówka, oskarżałem się, że cierpi z mojej przyczyny. Często nawet, czułem wyrzut sumienia wspomniawszy na zawiedzioną miłość Dosi, która może równie gorąco lubo nieszczęśliwie mię ukochała. Była toj jedyna chmura zasępiająca moje niebo jasne, jak twó uśmiech najdroższa moja!..

Ale niepokój mój zwiększył się gdy usłyszałem od matki, że Dosia zwierzyła się komuś, że grozi jéj zupełna ruina majątkowa, i dodała że zupełne ubezwładnienie nie dozwala jéj się zająć czem kolwiek. Wahając się na żądanie matki, aby jéj przyjść z pomocą napisałem do niéj grzeczny ale chłodny list, ofiarując jéj pomoc chętną w zarządzie interesów. Odpowiedziała mi listem szyderczym, który przysłany w nocy, w chwili gdy tyś się przebudziła dał powód do strasznych katuszy i zakłócenia naszego szczęścia. Daruj mi Janko najmilsza ale pierwsza kobieta którą bliżéj poznałem Dosia, źle mię uprzedziła do reszty i natchnęła nieufnością. Doświadczenie poparło tę smutną teorję, poszept więc rzucający cień podejrzenia na ciebie, uczepił mi się jak natrętna zmora, któréj nie mogłem pozbyć. Dosia zręcznie rozdmuchiwała szalone uczucie zazdrości w mem sercu, uwierzyłem oskarżeniom i cierpiałem jak potępieniec.

— Czemuś mi nie powiedział szczerze tego Jarosławie mój drogi? zapytałam ze łzami. I jam cierpiała okropnie, myśląc żeś przestał mię kochać.

— Bałem się rozbudzić z twéj strony posądzenia mię o uczucie dla Dosi. Przebacz mi.... nie znałem cię, uważałem cię jako dziecko, które obawiałem się spłoszyć!.

— Ale teraz minęło! mowiłam całując go tkliwie ty wzajem przebacz mi, bo uznaję że grzeszyłam dziecinnością i niewiarą.

— Cicho Janko! myśmy szczęśliwi, znamy się teraz lepiéj oboje i kochamy bardzo! nie prawdaż?

— Bardzo!.. powtórzyłam z uczuciem.

— O stosunku z Dosią nie chciałem ci mówić nigdy, gdyż obadwa z Marjanem uradziliśmy, że serce twoje mogłoby niesłusznie cierpieć nad tem.

— Więc Marjan o tem wiedział? zawołałam.

— Wiedział tegoż roku zaraz, w którym to nieszczęśliwe zdarzenie miało miejsce. Nie miałem dla niego tajemnic....dopóki.... dodał z uśmiechem Jarosław.

— Nie kończ!—zawołałam i kryjąc twarz na jego

piersiach szeptałam. I ja nie powiedziałam o tem nikomu! nawet mateczce!.

— O mój Boże!.. mówiłam wzruszona i płacząca słodkiemi łzami wdzięczności, klękając do wieczornéj modlitwy. Mój Boże! dzięki Ci za ten dzień dobry i piękny.

I nietylko dla nas był ten dzień tak miły. Mój kochany braciszek Marjan otrzymał także dar od Boga, dar najwyższego szczęścia, serce Idalji. I słusznie przewidziała pani Karolina, bo nie wiele czasu minęło a mieliśmy wesele. Marjan w kilka dni po oświadczeniu pojechał po mateczkę, która ucieszona serdecznie przybyła natychmiast, przytuliła garnącą się do niéj z uczuciem sierotę, pobłogosławiła ukochaną, śliczną parę i za kilka miesięcy Marjan swoją młodziuchną żonkę zawiózł do rodzinnego domku.

Dziś wiele już lat minęło od dnia, w którym odzyskałam moje szczęście, ale wspominając o tem kiedyś, oboje z Jarosławem uznaliśmy naszą wspólną winę, że zbyt młodzi, nieznający siebie wcale, podjęliśmy się wielkiego i ważnego obowiązku, jakim jest stwarzanie nowego ogniska rodziny. Lecz choć odpokutowaliśmy za to bardzo, nauczyło nas wiele chwilowe cierpienie, a Bóg użyczył nam nieprzerwanego szczęśc ia. Zwolna i ja pojęłam powołanie i obowiązki żony i pani domu i potrafiłam uzyskać szczere pochwały ojca i sąsiadów, a nadewszystko zupełne zadowolnienie mego Jarosława. Całą tę umiejętność zawdzięczam pani Karolinie, zacnéj kobiecie obywatelce, któréj niech Bóg wynagrodzi wszystko dobre jakiego użyczyła hojnie wszystkim. Smierć jéj była jedyną troską wyciskającą nam łzy prawdziwego żalu. Ona to mię nauczyła praktycznéj strony życia potrzebnéj koniecznie do szczęścia i przyjemności w rodzinnem kółku. To też zapamiętałam wszystkie jéj słowa i dziś je powtarzam mojéj córeczce Jadwisi, która jest już wielce ładną panienką i pewno nigdy takiéj bolesnéj nie przejdzie próby, bo ukształcenie praktyczne i naukowe zabezpieczy ją od nieświadomości postępowania.

Mateczka moja droga zawsze miła i dobra, cieszy się wnuczkami, których jest dosyć znaczna liczba, bo oprócz mojéj jedynaczki, dwóch młodszych chłopaczków figlarzy, i troje dzieci Marjanów prosi się Babci o pieszczotę i zabawkę.

Marjan i Idalja szczęśliwi prawdziwie, smucą się tylko stratą pani Karoliny. Ale może pamięć téj zacnej istoty jeszcze silniéj do naszéj rodziny przywiązaną zostanie, bo dorosły już syn jéj—Zygmunt L. coś bardzo upodobał sobie w towarzystwie mojéj Jadwisi, i kto wie co z tego będzie.

Kuzynka Dosia podróżowała długo, nakoniec oddała rękę za granicą jakiemuś węgierskiemu hrabi, pułkownikowi od huzarów, ale z nim się rozwiodła i mieszka teraz w Krakowie.

Podobno ślicznie wygląda, prowadzi dom dosyć otwarty, jest nadzwyczaj pobożną, buduje wszystkich swoją gorliwością w uczęszczaniu do kościołów i urządzaniem różnych zabaw na korzyść Dobroczynności. Ja się bardzo ucieszyłam z téj przemiany, ale mój Jarosław jak niewierny Tomasz, kręci na to głową i po cichu szepcze pewne przysłowie.

Amilkar ożenił się z panną bardzo posażną, ale strasznie brzydką. Nie wiem jak się to pogodziło z jego estetycznem upodobaniem. Utył znacznie, ale mimo to jeździ każdego roku do rozmaitych wód, a gospodarna lubo bardzo niemile szpetna żonka, rządzi za niego podobno wybornie. Nigdzie nie bywają, to jest ona, bo Amilkar zawsze bawi w stolicy lub za granicą i jak mówią, nic nie stracił z elegancji sobie właściwéj.

My zaś w naszym kochanym Klonowie kochamy się zawsze serdecznie. Dzieci nasze zdrowe, rozumne i ładne: gospodarstwo się wiedzie, pracujemy i stało się według zdania i słów Jarosława: Że jak pilnym robotnikom w winnicy Pańskiéj, wypłaconą nam została hojnie należność i nagroda!

KONIEC.

Korespondencja

Kraków Wrzesień.

Mam tedy obowiązek, donosić o wszystkiem, panie Redaktorze, co ciekawém lub użytecznem dla publiczności waszéj być może. Według przyjętego zwyczaju w większej części pism czasowych, sprawozdania takie powinny przedewszystkiem być zajmujące bardzo, to jest effektowne, potem mogą być prawdziwe lub zmyślone, jak się korespondentowi podoba. Proste doniesienie o wypadku dziś wrażenia nie sprawi, trzeba aby wypadek był nadzwyczajnym, daléj trzeba wyszukać w nim wszystkie złe strony, potępić kogoś, co dotąd dobréj sławy używał, umieć wydobyć z niego jakąś głęboką, żywotną, społeczną, jak teraz mówią, zasadę, podać ogólną, samodzielnie pojętą formułę, która zbawić ludzkość może, słowem stanąć *na wysokości* chwili. Jeśli rzecz drobna, podnieść ją do znaczenia wielkiéj: jeśli wielka, tak ją umieć zniżyć, aby się ledwie dojrzalną stała; jeśli piękna, figlarnie oszpecić, dowcipem zabić, aby była godna czasu i w ogóle trzeba wszystko widzieć oryginalnie, samoistnie, ze stanowiska tak nowego, żeby się z nikim i z niczem a szczególnie z *prawdą* nie spotkać. Na takie zadanie siły moje niewystarczą, zastarzałe, średniowieczne zasady moralności niepozwolą, wszechstronny pogląd i zgodny z postępem wiek nieprzyjmie—a co najważniejsza, publiczność od gminnych prawd odwykła, z nadzwyczajnościami nawet oswojona, odrzuci.

Jakże naprzykład śmiałbym wam donieść, a rzetelnie mówiąc, sprostować, że wybory pierwsze do Akademii umiejętności sprawiedliwie i uczciwie były dokonane (mierząc je w braku geniuszu, zwyczajnym ludzkim rozumem), kiedy wam już dawno powiedziano i to z takim zapałem, jaki tylko święta prawda i najczystszy wzgląd na dobro publiczne obudzić może, że w tych wyborach sama nikczemność i prywata same działały: kiedy już wiecie i słowem honoru korespondenta, oprócz faktów, przekonani zostaliście, że wybrani akademicy, to reprezentanci ciemnoty i zacofania, w najdoskonalszym gatunku, wszyscy *prawie* bez żadnych cnót obywatelskich; że w tym wyborze podeptane wszystkie prawa rozsądku, moralności i nauki. Jeśli nie korespondenci, to pisma nasze najliberalniejsze stwierdziły tę prawdę—jeszcze przed wyborami. Istotnie, podeptane wszystkie zasady sprawiedliwości, bo czyż godziło się na pierwszy raz żadnego humorysty do Akademii nie wprowadzić? Toż smutny będzie ten przybytek nauk; przecież panie dobrodzieju, humorysta to cenzor obyczajów, cenzor sumienia narodowego, obrońca pokrzywdzonéj cnoty, zwierciadło prawdy i sprawiedliwości; toż on nieomylnemi słowy swojemi, dziesiątki tomów już zadrukował, a panowie akademicy niektórzy nic nie drukowali.

Gdybym wam powiedział daléj, że następne wybory odbyły się zgodnie z wyraźną wolą prawa pisanego i zatwierdzonego tam, gdzie się prawo każde zatwierdzać zwykło, które właśnie dziś jeszcze za granicę państwa Austryjackiego sięgnąć nie pozwoliło, na cóż się i to przyda, kiedy ci, co wybory oceniali, na zasadzie wyższego prawa, w sercu każdego uczciwego człowieka zapisanego, wyrzekli, że to gwałt zadany po raz wtóry rozumowi, bo takie bezmyślne prawo, jako bez nich stanowione, istnieć było niepowinno. Pisano prawo dla naukowego ciała, a gazeciarzy, co zdroje światła i mądrości codzień tak obficie na zgłodniałą rzeszę rozlewają, do téj pracy nie wezwano, nie zapytano, co myślą i na co pozwolić mogą!

Otóż, gdybym wam takiém *wstecznictwém* i *zacofaniem* nacechowane wiadomości donosił, a nie oburzał się razem w energicznem słowie na ową sromotę, jakiéj się nowa Akademja dopuściła, to zaszkodziłbym bardzo pismu waszemu, odstręczył wszystkich postępowych czytelników i prawdom nieskontrolowanym i nieprzyjętym przez nieskazitelne dziennikarstwo nasze, szerzyć się pomagał. Czyliż takiéj barwy korespondencją przyjąć wam wypada; czy ona nie narusza harmonii ogólnéj, w któréj ludzkość dzisiejsza żyje, a od któréj odstępować możeby się niegodziło publicystyce naszéj?

Rzecz także wielkiéj wagi i przy odgłosie wielkiéj muzyki dzienników naszych już wam podana—o wyborach do Rady Miejskiéj Krakowa, czy może być przedmiotem moich sprostowań, które oprzećbym znowu musiał na argumentach średniowiecznéj, przestarzałéj moralności. Racz się rozmyśleć Szanowny Redaktorze, wyznawców Büchnerowskich wyrozumieć, czy się nie zgorszą, i oświadczyć czybyś był gotów dzielić los spotwarzonych Akademików krakowskich, krakowskiego prezydenta i wszystkich jego vice-prezydentów?

Ze sprawozdań, jakie mogły wam dać wyobrażenia o działaniu stronnictw wyborczych, niedowiedzieliście się zapewne, czego właściwie żądało każde, albo raczéj przekonaliście się dostatecznie, że wszystkie pragną dobra publicznego, pomyślności miasta i panowania cnoty na rynku Krakowskim, jako i na Kazimierzu, w ogóle postępu na drodze wszelkiéj możliwości i niemożliwości. Kiedy tak wszystkie pragną jednego i mają po kilka kompletów nawet światłych i cnotliwych mężów do przeprowadzenia najżywotniejszych zadań, to zdawałoby się, że sprawa załatwiona, że Kraków choćby nie chciał, musi być szczęśliwym; musi zakwitnąć porządkiem, najwymyślniejszemi wygodami, a szczególnie czystością, jakiéj nie znajdzie równéj, chyba w jakiém holenderskiém mieście, oraz wonią, któréj fijołki tylko pozazdrościć mogą. Zdawałoby się, że już w dodatku tylko rozwinie się tu dobry byt, ów dobrobyt, do którego tak się dziś świat gorąco modli, jak niegdyś błogosławieni słudzy Pańscy, że się wzmoże handel nietylko między Kazimierzem, Stradomiem i Rynkiem głównym, ale między wszystkiemi stolicami świata a Krakowem; że powstanie przemysł, nie ów pospolity choć wielce użyteczny, przerabiania starych kapeluszy, na zupełnie nowe, ale jakiś taki któryby najlepiéj północną Amerykę przypominał. Tak zdaje się, że byćby powinno, bo wszystkie stronnictwa przedstawiają i doskonałe programata i wypróbowanych w cnocie i mądrości ludzi, ludzi znanych sobie osobiście jak najbliższych krewnych, nawet krewnych lub powinowatych. Przy takiéj obfitości wszystkiego dobrego i mądrego, jabym sądził, że już dla miasta i sławy jego i wszystkiego blasku, wszystko jedno będzie, czyby to, czy drugie stronnictwo zwyciężyć miało, zawsze bowiem przychodziłoby do władzy najdoskonalsze, niewybrani wprawdzie poszliby pod pręgierz opinii publicznéj, pod kolce ironii i dowcipu, ale i wybrani, na drugi dzień po swoim tryumfie oddani by zostali pod sąd także i pod razy równie dotkliwe. Czyni się to dla tego, aby była równość w obliczu prawa obowią-

zującego dzisiaj, to jest—w obliczu potwarzy—a zawsze dla dobra publicznego. To dziwactwo na pozór, ta niemoralność w pospolitem rozumieniu rzeczy, jest w istocie tylko jednym z owoców cywilizacji prawdziwéj, jest wyrazem ruchu, jest życiem. Szkoda i krzywda nie dzieje się nikomu, wszyscy chodzą w tych samych strojach, którego jedna część błyszcząca uwielbieniem bez granic, druga powalana błotem. Tę nowoczesną równość zaprowadzili u nas, dziennikarze najliberalniejsi i przednie ich straże, humoryści;—do niéj przywykła czytająca publiczność, i między stronami panuje zupełna harmonja. Oni to dla ciągłości historycznéj, dla utrzymania tradycyi, którą w innych sferach życia potępili w miejsce krwawych, barbarzyńskich walk ludzi z dzikiemi bestjami w cyrku, urządzili inny rodzaj widowiska, dla gawiedzi nader interesującego widowiska, na którem człowiek nie traci życia, ale tylko dobrą sławę, tak zwany honor. Biorą do tego z ulicy i z domów prywatnych, z urzędu i z grona przyjaciół nawet, żywe ofiary, żadnemi pseudonimami nie osłonięte, ale pod własnemi rzetelnemi nazwiskami, wloką na plac igrzysk (szpalty pisma) i tam zdzierają wszelkie tajemnice z życia domowego, od początku przyjścia na świat aż do obecnéj chwili, i tak obnażonych przedstawiają widzom. Jeśli to życie ma jakie nieznaczne plamy, to je domysłem lub fałszem wzmacniają, jeśli brak wszelkich ofiarują własne, wielkością i wyrazistością przerażające.

Do takich widowisk już społeczność przyzwyczaiła się i czeka na nią w dni oznaczone i godziny, choć nie bez drżenia i trwogi. Kto w społeczności nie ma wybitniejszéj roli, przypatruje się ofiarom swobodnie, znajomi świata, pierwszorzędni udają obojętność ale w duchu boleją i ozwać się z protestacją nie ważą, bo jutro lub pojutrze mogliby stanąć na placu igrzysk. Kiedy się ten *saison* zbyt długo już trwający widowisk skończy? Bóg raczy wiedzieć, ale w każdym razie jeśli straszna jest rola ofiar, straszniejsza oprawców.

Może już czas wyjść z téj atmosfery niemiłéj i pomówić bez goryczy i bez boleści o Radzie miejskiéj miasta Krakowa.

(d. n.)

To i owo.

Niedawno temu w Kurjerze Warszawskim ze zdumieniem wyczytałem wiadomość „o jednym ze stróżów” Ogrodu Saskiego, który nawymyślał małemu chłopcu depczącemu trawniki. W dalszym ciągu zdarzyło się jeszcze: że nadszedł „starszy w hierarchii zarządu ogrodowego” i owemu stróżowi całkowitą przyznał słuszność.

Jeden ze stróżów—więc może ich być dwóch, a nawet więcej. No proszę. A ja myślałem: że wszystkiego po prostu jest tylko ten jeden potulny sobie człeczyna, wałęsający się czasami w okolicy wodotrysku, roztargniony i ziewający, patrzący zwykle w stronę Saskiego placu podczas kiedy mali chłopcy na kompas się gramolą, lub zbierający papierki przed ławkami w chwili kiedy się tłum dziewcząt przypatrując temu, na prętach kołysze.

Ba—nawet w oczach jego wiele dotąd pozwalać sobie było można. Sam raz widziałem, jak dziewczynka dość już duża, nie tylko że po trawniku chodziła, ale rwała na nim co najpiękniejsze kwiaty, podczas kiedy jej towarzyszki bawiły się rzucaniem grudek ziemi w wielki wodozbiór środkowy,—a ten tak zwany strażnik ogrodu spoglądał na to wszystko nader dobrotliwie i nie mówił nikomu marnego słowa.

Co prawda, zajęty był wtedy osobą niańki niejakiej pewnie dobrej swojej znajomej, nawet może dość bliskiej.

Więc nie jest ten człowiek pozbawiony serca—zkądże mu tedy znagła srogość tak zawzięta?

Myślę: że go chyba pierzchliwa niańka zdradzić musiała – i to kto wie czy nie dla drugiego stróża.... skoro ich jest więcej jak jeden. I gdyby nie ten wypadek szczególny, pytam: któżby się kiedy w tym razie domyślił liczby mnogiej?

A także ów starszy w hierarchii ogrodowej,—mnie się on dotąd wydawał istotą mytyczną. Inaczej jak tu wytłumaczyć tyle bukietów bzu i akacyi unoszonych z ogrodu z wielkiem drzew łamaniem—albo te zgraje dzieci, obijających w porze obecnej kijami kasztany i wreszcie te trawniki tak przedziwnie wyłysiałe, jak nawet rzadko bywa głowa mędrca przyszłości, dumającego o odnowieniu społeczeństwa z należytą pogardą zasad ortografii.

Są to rzeczy nie łatwe do pogodzenia. Istnieją tedy dozorujący którzy niczego nie dozorują, w skutek czego ktośby przecie ich samych dozorować powinien...

Chwilkę jeszcze pozostańmy w ogrodzie.

Przeszłej niedzieli, w porze południowej, znalazłszy cudem jakimś miejsce na ławce, siadłem tam sobie w środkowej alei. W prost naprzeciw, mały jakiś chłopiec przystrojony do Wystawy sklepowej, siedząc przy swojej bonie, wrzeszczał w niebogłosy. Niewiem od jak dawna to rozpoczął, wiem tylko: żem zwrócił na to uwagę punkt o godzinie pierwszej. Upłynął kwadrans—on wrzeszczał ciągle w jednej mierze—upłynął drugi, trzeci—słowem że trwało tak blizko aż do drugiej.

Przez cały czas ten podziwiałem osobliwszy stoicyzm, nie już przechodzących, ale tych co siedzieli na tej samej co ów chłopiec ławce. Wszyscy zdawali się tam ogłuchli, odrętwieli, czy też dziwnie skupieni w sobie. Prawda, że to były same panie. Każda siedziała ostrożnie, starannie odsadzona od sąsiadki, wychuchana, wykrochmalona, wyrurkowana, to uśmiechnięta, to zamyślona, to niby nigdzie nie patrząca,—słowem każda pozowała tak, jak jej to najkorzystniej doradziło w domu zwierciadło. Co zaś do owej bony, to ta po prostu siedziała jak malowana—i nawet nie bez pewnej słuszności—w istocie bowiem było na niej farby rozlicznej nie mało.

Skończyło się na tem: że nadeszli jacyś młodzi państwo ubrani także według jutrzejszej mody. Z tych pan groźnie bardzo małego ofuknął—pani pogłaskała go po głowie—i chłopiec jakby ręką odjął—uspokoił się i poszedł się bawić.

Widząc to wszystko pomyślałem sobie trzy rzeczy.

Jeżelić tak łatwo sobie tym rodzicom z dzieckiem radę dać, to po co też do niego utrzymują bonę? Jeżelić już koniecznie bonę mieć dla szyku, to niechże choć ta bona nie będzie *bonne à'rien*. Jeżeli znowu ta bona ma być do niczego, to niechby nie była także do siedzenia w środkowej alei.

Zarazem gdybym był właścicielem domu, to w takim razie z nadzwyczajną troskliwością, wywiedziałbym się o nazwisku tych państwa.

W ostatnich czasach bowiem weszło w zwyczaj chwalebny, nie wypuszczać ludziom mieszkania, dopóki się nie zobowiążą, że nie będą mieli dzieci. A jak już mają? Ha! to nie dla nich miejsce w *tak* porządnym domu. Są inne—twierdzi gospodarz—może na przeciwko, lub u miłego sąsiadu (w grze w komórki zowie się to: w podle na pomietle).

Naprożno dajesz słowo honoru: że Mania jest tak grzeczna, że możnaby ją pokazywać za pieniądze, że Janio zbiera jedynie marki pocztowe, i że się nigdy nawet szabelką nie bawi—jako mający spokojne sobie tylko talenta przyszłości.

—Mania—powiada człek nieużyty będzie się koniecznie muzyki uczyła i śpiewu, i powystrasza mi najakuratniejszych lokatorów,—następnie zaś, kiedy dorośnie i ubierać ją przyjdzie, to już nie starczy rodzicom na płacenie komornego.

Przezorny sobie jegomość—gadajże z takim. No—a Janio?

Przedewszystkiem, właściciel domu nie wierzy w talenta przyszłości.—Marki zbiera—powiada on—odda go potem ojciec do jakiego banku lub kantoru, zkąd niebawem drapnie młodzieniec z pieniędzmi swego pryncypała.

— Przecież nie każdy...

— Ale jak ja właśnie trafię na takiego? Patrz pan oto w tej chwili trzech takich ptaszków, jednocześnie gonią po świecie ogłoszenia publiczne. Opisani są jak węże. Jeden ma twarz obsypaną krostami, nos duży...

W tem miejscu, przepraszam, że pozwolę sobie zrobić nawias mniej więcej długi.

Jednak dziwnie to szybko karłowacieją rzeczy niektóre na tym naszym świecie! Toż kiedy protoplasta tych panów, niezapomniany Salwian Jakubowski, w „dobrze zrozumianym interesie własnym”, ucieczką się salwował, wiedzą wszyscy, jako w tym razie pobrał z cudzych kieszeni krocie, a nawet jak przypuszczają miliony. Z tych zaś trzech, jeden „wziął sobie w drogę siedm tysięcy rubli, drugi już tylko trzy, a trzeci zaledwie siedmset. Dodajmy do tego, że to było stowarzyszenie. Tedy o wiekopomny Salwianie—tyś był przynajmniej nielada... Tylko co nie powiedziałem—złodziejem. A wyraz brzydki—aż fe Już Krasicki myślał nad tem jakby go uwdzięczyć, ale trafiał tylko na same omówienia:

... „Piotr się wprawił w rzemiośle trochę niebezpiecznem.

Wziął co nie było jego—kunsztownie pożyczył....

Bodajto jednak Podhalanie Zakopańscy! Ich językiem, gdyby nie francuczyzna, mógłbyś najpozłocitsze wykadzać salony. Oni takiego człowieka grzecznie sobie nazywają *porwaśnym*.

Tu kończę nawias i wracam znowu do mego gospodarza.

— Proszę pana—mówię mu dalej—cóż może być za związek pomiędzy temi wygłoszonemi publicznie panami, a cichym ojcem rodziny, poszukującym pomieszkania?

— A któż to wychowuje takich synów jeśli nie ich ojcowie? Znasz pan przecie przysłowie o jabłoni. Cichym—powiadasz pan? Proszę czytać—oto znowu ogłoszenie publiczne:—Zawiadamiam niniejszem, że nie myślę płacić długów mego syna... Na co niebawem syn odpowiada równie wszem w obec:—Nie potrzebuję podobnego zapewnienia ze strony mego pana ojca—bo ja sam potrafię....nie płacić. A teraz przeczytajmy sobie rzecz jeszcze trafniejszą:—Wzywam mego syna w Warszawie zamieszkałego, aby mi odesłał moje pieniądze, które przed sześciu laty *wziął* bez mego pozwolenia i upoważnienia, i ostrzegam go, że jeśli w dniach dziesięciu nie otrzymam skutku—to imiennie powtórzę moje żądanie i opiszę go tak jak na to zasłużył.

Ma słuszność mój pan gospodarz. Do tego czyżby nie lepiej taką bieliznę brudną w domu między sobą prać? A najlepiej zapewne prać ją, dopóki można, na grzbiecie podobnego syna. Tylko że kij ma dwa końce—a nużby syn znowu.... Kto wie?—przy takim wychowaniu....

Skończmy już z tym smutnym przedmiotem.

Jesień. Odjechał nas już Bilse—wróci nie prędzéj aż za trzy lata. Więc też kiedy nas żegnał „dzikiemi łowcami z panią Hollą (Huldą) i Wotanem", zebraliśmy się w liczbie około trzech tysięcy, co widząc Maryonetki z teatrzyku Rappo, włożyły sobie w puste głowy, że je oglądać przyjdziemy, płacąc to samo co za widzenie pięknej Caroselli. Ale ponieważ „krupa jagłą być nie może", stało się tedy, że nawet przy obniżeniu cen do połowy, pustki tam bywają bezprzykładne, dzięki jak się zdaje niemieckiej narodowości aktorów, a raczej redaktorów tekstu, który się czyta za drzwiami.

Teatra ogródkowe także nas opuszczają. W roku przyszłym już ich podobno wcale nie będzie. Szkoda to, równie dla nas jak dla nich. My tracimy w nich pożądane w repertuarze urozmaicenie, oni zaś szerszą nieco dla działalności swojej widownię.

Pozostaje z nami miejscowy nasz dramat i komedya. A! prawda—jeszcze i opera—goniąca resztkami, jak bogacz, który nie mogąc czy nie chcąc dostatków swoich w kraju używać, koniecznie się z niemi po za granicach uwija.

O teatrze mówiąc, przyszło nam na myśl znajdujące się na Wystawie popiersie Dawizona (roboty p. Wiśniowieckiego). Jest to utwór zalecający się szerokiem, energicznem, pełnem prawdy traktowaniem. Robiony mu zarzut przesady w realizmie, nie wydaje nam się dostatecznie uzasadniony. Wymiary popiersia przeznaczają je widocznie do pomieszczenia na wzniesieniu—więc tylko w takich warunkach rzeźbę tę nieposzlitą sądzić się godzi: Byłoby do życzenia ażeby Dyrekcya naszych teatrów o nabyciu jéj pomyślała. Dawizon był jednym z tych proroków, którym łacniej uwierzyli cudzy jak swoi. Niemniej Warszawy rodzinnéj nigdy się nie wyparł—sławą zaś swoją wypełnił oba światy. Dziś kiedy prorokować przestał, nic mu już do zarzucenia nie mamy—więc właśnie kolej przyszła pośmiertnego uznania, które (jak świadczy załączona kartka) w gipsie kosztowałoby nie więcej jak siedmdziesiąt pięć rubli, w marmurze zaś rubli srebrem trzysta. Należy mu się to równie od sztuki naszej jak i rodzinnego miejsca. Mamyż się doczekać, aż go niemcy do Walhalli jak swego uroczyście wprowadzą, i potem ujadać się z niemi o prawo własności genialnego człowieka, który koniecznie chciał być naszym—choć myśmy nie koniecznie chcieli?...

Przegląd literacki

Dzieje Polskie w głównych zarysach (krótko) streszczone dla użytku młodocianego wieku, przez *E. Leja.* Warszawa, nakład księgarni Kaufmana 1872 r. w 12-ce str. 160.

P. Emilia Leja niezaprzeczone położyła zasługi dla młodocianego i młodego wieku; liczne jéj prace, odznaczające się gładkim stylem, obrazowem przedstawieniem trudniejszych nawet rzeczy, a przedewszystkiem zawsze i wszędzie moralną i swojską tendencyą, zjednały jéj i wciąż zjednywają coraz większą wziętość i wdzięczność młodéj generacyi. Obecnie niestrudzona autorka wydała na widok publiczny dzieje naszego kraju, opowiedziane dostępnie dla małych dzieci. Nie obfitujemy zbytecznie w tego rodzaju publikacye, a przecież każdy z nas czuje, jak ważną jest rzeczą, aby dzieci zawczasu poznały koleje swojego rodzinnego kraju, gdyż potem nadejdzie pora nauk szkolnych, a późniéj jeszcze mozolne zabiegi o zapewnienie sobie powszedniego chleba, i nie nastręczy się sposobność rozpatrzenia się w przeszłości rodzinnéj. Lepsze więc coś, niż nic...

Przed dziesięciu laty, jeśli się nie mylimy, szanowna autorka wydała także historyę polską dla dzieci, przy której dołączone były pytania po każdym ważniejszym ustępie. Obecna praca, jak się przekonywamy, przy całéj zwięzłości jest pełniejszą i nieco obszerniejszą.

Autorka wymijała starannie sporne punkta w naszéj historyi, nie dotykała ich wcale, a tym sposobem nie potrzebowała wdawać się z dziećmi w zawczesne rozumowania i dyskusye. I bardzo słusznie nie miejsce tu na rozprawy, a poprostu rzecz idzie tylko o to, aby faktów jak najwięcéj wrazić w młodocianą pamięć. Niemałéj więc potrzeba zdolności, aby te fakta tak zestawić, iżby podziałały na wyobraźnię, poruszyły serce, i zachęciły do bliższego ich zbadania.

Jesteśmy przekonani, że pani L. doskonale pojmuje wszystkie trudności, jakie się nastręczają w napisaniu dla dzieci dobréj historyi polskiéj, dla tego wstrzymujemy się od wszelkich krytycznych uwag, bo te, co najwięcéj byłyby tylko *pia desideria.*

Fizyka w streszczeniu opowiedziana, według *J. Müllera* prof. fizyki w Uniw. Freiburgskim, spolszczona przez Stanisława Kramsztyka. Z atlasem obejmującym 10 tablic z 455 figurami. Warszawa, nakład M. Orgelbranda. In folio min. Str. 43 tekstu. Cena rs. jeden.

Nie potrzebujemy dowodzić potrzeby, prawie konieczności, książek naukowych wyjaśniających wykłady szkolne; tém większe należy się uznanie nakładcy, że rachować nie może ani na szybki ani na znaczny rozkup podobnych książek. Fizyka, którą nas obdarzyła księgarnia M. Orgelbranda, zasługuje ze wszech miar na rozpowszechnienie, mianowicie dla tych czytelników, którzy już przeszli kursa początkowe a pragną je sobie powtórzyć i z właściwą nomenklaturą w pamięci zachować. Dla uczniów klassy siódméj gimnazyalnéj podręcznik Müllera wielką oddać może przysługę, gdy przychodzi im składać egzamin ostateczny, czyli tak zwany dawniéj *maturitatis.*

Treściwie, może trochę zanadto, ale jasno i zrozumiale napisana ta książka odznacza się językiem poprawnym i starannym. Wszelako w niektórych miejscach szanowny tłomacz, sam znający rzecz gruntownie, mógłby sobie pozwolić i odstąpić od oryginału mianowicie też tam, gdzie zbytnia zwięzłość szkodzi jasności.

Wartość naukowa fizyki Müllera, jako odpowiadająca dzisiejszemu stanowisku téj umiejętności, nie potrzebuje oceny, jako powszechnie uznana.

Fizyka Müllera dobrze wybrana i na czasie.

Autor dzieli *fizykę* na „naukę o ruchu całych ciał, czyli *mechanikę*, i na naukę o zjawiskach polegających na ruchu cząsteczek czyli *fizykę właściwą*. Mechanika dzieli się zwykle na naukę o równowadze czyli *statykę* i na naukę o ruchu czyli *dynamikę*. Do fizyki właściwéj należą: *a)* nauka o głosie czyli *akustyka*, *b)* nauka o świetle czyli *optyka*. *c)* nauka o cieple, *d)* nauka o magnetyzmie i *e)* nauka o elektryczności".

Jest to więc sama w sobie całość; w jakim zaś porządku poznawał kto jéj części, nic do rzeczy nie należy.

Co się tyczy samego, wydania przyznać musimy, iż dawno nie zdarzyło się nam oglądać książki tak starannie i pięknie wydrukowanéj. Papier dobry, a rysunki tekst wyjaśniające, nic nie pozostawiają do życzenia. Żal tylko, że to wszystko robiło się nie u nas, ale u Brockhausa w Lipsku. Cena książki nadzwyczaj nizka, wynosi tylko rubla, gdy tymczasem za sam tylko atlas znajdujący się przy tekście, należałoby, według cen tu praktykujących się, dwa razy więcéj zapłacić.

J. Pracki.

FAYUM, SINAÏ I PETRA

PODRÓŻ
DO ŚRODKOWEGO EGIPTU I ARABJI
SKALISTÉJ

ODBYTA PRZEZ

SŁYNNEGO ARTYSTĘ MALARZA GÉROME

ORAZ

JEGO TOWARZYSZY I UCZNIÓW

STRESZCZONA

przez **Joannę Belejowską.**

(Dalszy ciąg).

Nazajutrz postanowiliśmy wybrać się jakby na pielgrzymkę na świętą górę, ale że wstąpienie na nią było daleko jeszcze uciążliwsze niż wejście na szczyt Piramid, więc niektórzy z towarzyszy odłączyli się od téj wyprawy. Wchodzących na Piramidy Arabi podtrzymują i prowadzą za ręce, tu trzeba się wdzierać samemu, po nader stromych i ślizgich skałach.

Sinai, jest to góra granitowa, najeżona ostremi wypukłościami, sterczącemi odłamami i rozpadlinami, powstałemi skutkiem działania ognia i wstrząśnień wulkanicznych. Od dołu do szczytu, granit ma barwę czerwoną, co potęguje jeszcze poważne, niemal straszne wejrzenie góry. Zakonnicy probowali urządzić schody prowadzące aż na szczyt góry, ale ta praca Cyklopów, musiałaby być co rok ponawianą, gdyż topienie śniegu i tworzące się stąd strumienie, porywały swym prądem nanoszone przez nich kamienie.

Chcąc dokonać tak trudnego dzieła, trzebaby chyba skałę rozsadzać minami, a w téj pustyni proch jest bardzo kosztowny i do zdobycia trudny, niepodobna więc używać go na ten cel.

Z wielkim trudem wdarliśmy się na górę Horeb, stanowiącą niby podmurowanie Sinai; stąd droga stawała się coraz cięższą i coraz mniéj odznaczoną, a ostre skały o któreśmy się czepiali coraz więcéj ślizgie. Buty nasze ucierpiały strasznie od téj powietrznej podróży, i mówiliśmy sobie że rzeczywiście musieli być świętymi ci patryarchowie, którzy mogli tu bosemi wchodzić nogami.

Na połowie drogi znajduje się mała platforma, w pośród któréj wznosi się jedyny na téj górze rosnący cyprys, jest to drogoskaz pomagający zbłąkanym podróżnikom skierować się na dobrą drogę i wskazujący zarazem ile jéj jeszcze do przybycia pozostaje. Zasiedliśmy w około samotnego cyprysu, był to pierwszy nasz wypoczynek.

Góra Sinai obfituje w mannę którą zakonnicy bardzo starannie zbierają; ma to być gatunek wyborowy nie pojawiający się w żadnéj innéj miejscowości; sposób otrzymywania tak udoskonalony, że gdyby Arabowie zabawiali się w wystawy, najniezawodniéj zakonnicy otrzymaliby pierwszy medal.

Nareszcie wdarliśmy się tak wysoko, iż ukazały się nam pierwsze śniegi; była to oznaka iż zbliżamy się do celu. Im bliżéj szczytu, tem wchodzenie było trudniejsze, ale widok jaki się tu roztoczył przed nami, wynagrodził stokrotnie poniesione trudy.

Szczyt Sinai tworzy gładką prawie płaszczyznę, jakaż to w około niéj olbrzymia panorama ukazała się naszym zdumionym oczom! Na jednym krańcu półwyspu ukazały się zdala dwie odnogi morza Czerwonego i zatoka Arabska, otoczone jakąś mgłą srebrzystą unoszącą się po nad wodą, na prawo i na lewo szczyty wszystkich łańcuchów gór sinaïskich. Z tego punktu, góry Serbal i Djebel-Haterin wydawały się wyższe od Sinai, ale nie przedstawiały się tak wspaniale jak góra święta.

Tu znajduje się ogromna jakby tablica, wytworzona ręką przyrody, ma to być miejsce w którem Bóg ukazał się Mojżeszowi i oddał mu tablice prawa. W rzeczywistości miejscowość ta najzupełniéj odpowiada opisowi podanemu w Piśmie św.; poniżéj roztacza się dolina *Raphidim*, gdzie lud izraelski oczekiwał powrotu św. patryarchy.

Na téj platformie wznosi się mała grecka kaplica, i w każde święto jeden z zakonników przychodzi tu odprawiać nabożeństwo. Muzułmanie zazdroszcząc chrześcijanom wspomnień i pamiątek przywiązanych do téj góry, zaczęli budować tu meczet, z którego dziś same tylko ruiny sterczą, wśród których ukazują—ślad stopy wielbłądá ich Proroka. Lecz autentyczność tego odbicia bardzo jest wątpliwą, gdyż niepodobna uwierzyć, aby wielbłąd mógł wstąpić na tę górę—chybaby to więc był ślad stopy samego Proroka—ale w takim razie nie miałby się czem pochwalić, odbicie ma kształt potworny.

Powróciwszy z wyprawy zastaliśmy wielki ogień, który powitaliśmy radośnie, gdyż znowu zimno dokuczać zaczęło, i po sutej wieczerzy udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz udaliśmy się do klasztoru, zwiedzić ogród zakonników. Bujne drzewa i krzewy pokryte były różnobarwnem kwieciem, a ten cichy ukwiecony zakątek dziwną tworzył sprzeczność, z roztaczającą się dokoła pustynią. Aby urządzić taki ogród, zakonnicy sprowadzali, aż z Egiptu ziemię wegetacyjną którą przenosiły wielbłądy; łatwo sobie wystawić ile to wymagało kosztu i czasu.

W środku ogrodu znajdują się nizkie drzwi zdające się prowadzić do piwnicy, jest to wejście do grobów klasztornych. Tam w dwóch obszernych salach, mieszczą się śmiertelne szczątki zakonników i braciszków kości każdego, szkieleta są rozgatunkowane w ten sposób iż układane są rzędami, osobno głowy, osobno ręce, nogi i inne członki: sami tylko patryarchowie spoczywają niepodzieleni na cząstki, w rodzaju pak przypominających sarkofagi mumij egipskich. Ileż to mieć będą trudów i kłopotu biedni ci rozczłonkowani zakonnicy, aby odnaleźć swoje głowy, ręce, nogi itd. itd. gdy im przyjdzie stanąć na sąd ostateczny!

Pożegnawszy gościnnych zakonników postanowiliśmy w dalszą puścić się drogę; wywdzięczając się za gościnność zostawiliśmy hojny *bakszis* na klasztor i fotografie zdjęte z zakonników, które ich bardzo ucieszyły. Minąwszy klasztor i jego okolice, dostaliśmy się do *Wadi-Saal*; ta miejscowość nie jest już tak posępna, jak cała część półwyspu pomiędzy Sinai a miastem Suez. Tuż przy drodze rosły tamarxy i krzaki o drzących szarawych liściach, jakby na uciechę naszych dromaderów. My nie podzielaliśmy ich wesołości, jakoś nam ciężko było na sercu, nie wiem czy żal nam było rozstawać się z dobrymi zakonnikami, czy ogarniał nas jakiś niewysłowiony niepokój, na myśl że w tak odludne i całkiem nieznane zapuszczamy się strony, słowem, jak niegdyś Hebrajczyków w pustyni, tak i nas ogarnęło pewne zniechęcenie, ale szczęściem nie długo trwało.

Na zakręcie doliny, góry zaczęły zmieniać kierunek, i rozszerzając się z obu stron, tworzyły ogromną równinę pokrytą białym i różowym piaskiem.

Nagle, zdumionym naszym oczom ukazało się wielkie miasto indyjskie, ze swemi wieżycami, pagodami, minaretami i kopułami. Olbrzymie te budowle wznosiły się na stopniowanych gradusach, na których wspierały się jakby na piedestałach, złudzenie było zupełne, żadnemu z nas nawet na myśl nie przyszło, że to tylko naturalna góra. Tarasy piętrzyły się jedne nad drugimi, a ozdoby snycerskie rysowały się tak czysto, iż długo nie mogliśmy uwierzyć, że to złudzenie wzroku. (d. c. n.)

O ubiorach.

W obecnym czasie właścicielki pierwszorzędnych magazynów, prawie wszystkie wyjechały po nowości za granicę, zanim powrócą i będziemy mieli sposobność opisania najświeższych modeli sukien, okryć i kapeluszy, kreślemy słów parę o bieliźnie toaletowéj z magazynu pana Hersego przy ulicy Senatorskiéj.

Widzieliśmy tam wielki dobór kołnierzyków, kanzutów, col fichu, czepeczków i wiele innych przedmiotów. Za nowość uważamy tak zwane „Cols fichu“ które służą do toalet wieczornych, lub proszonych obiadów, opiszemy też kilka, dla dania czytelniczkom naszym niejakiego o nich wyobrażenia. Dwie plisy skośne, muślinowe układane w fałdy i oszyte szeroką walansienką i ząbkami haftowanemi. Dwa te końce z jednej strony zakończone są podwójną falbaną z walansienki plisowanéj, które to układają się w ten sposób, że jedna strona oszyta do przodu a druga do tyłu, tak iż tworzy kwadrat; jeden spada na plecy, a drugi na przód sięgając aż do stanu. Zakończone bywają kokardami ze wstążek koloru sukni. Drugi „Col fichu“ dla młodéj osoby, muślinowy plisowany, oszyty falbanką również muślinową plisowaną. Na plecach pod samą szyję ma kształt rogówki, z przodu zaś otwarty dochodzi do paska, i zakończony był jednym końcem spadającym na bok prawy; na piersiach z lewego boku dano kokardę koloru sukni.

„Col fichu“ w rodzaju kanzutu, który się nosi do sukni wyciętéj. Kanzut ten wpada do figury, i tworzy karoczek, z koronek i wstążek, z przodu zaś końce od paska skrzyżowane, zakończone są kokardą. Kanzut ten niezmiernie zgrabny i gustowny.

Wszystkie te kanzuty robią się z muślinu, tiulu i bywają w cenach od rs. 3 do 10. Z crêpe de chine nie równie są droższe. Dla osób poważniejszych widzieliśmy pyszny garnitur z irlandzkiéj koronki. Kołnierzyk duży zwany „Col Irlandais“ rękawy otwarte tiulowe takąż koronką oszyte. Garnitur z koronki „Gramont“ kołnierzyk wykładany, zakończony z przodu w kwadrat tworzący żabot; rękawy pół otwarte ozdobione spadającemi kwadratami. Inny kołnierzyk z tyłu stojący, na przodzie miał dwa kwadraty ze wstawek haftowanych i walansienki; tworzyło to żabot. Rękawki zamknięte, lecz obszyte falbaną, która sprawia że rękawy wydają się otwarte. Fason ten bardzo jest piękny i praktyczny szczególniéj dla osób w pewnym wieku. Przejdźmy teraz do kołnierzyków codziennych; kołnierzyk stojący z przodu wykładany, zrobiony z płótna białego, które to płótno pokryte zostało perkalem kolorowym, lecz tak aby zostawić obwódkę białą szeroką na dobry palec, pliska z perkalu pompadour uzupełniała przystrojenie. Kołnierzyk stojący biały, płócienny, z przodu miał klapki spiczaste podszyte perkalem w kolorowe centki; rogi mocno ku górze zagięte, rękawy bufki wszyte w pasek szeroki na 4-ry palce, podszyte kolorowym perkalem z końcami mocno zagiętemi. Kołnierzyk „Abbé“ płócienny biały strojny pliską kolorową. Rękawy podobne kształtu kielicha, bardzo modne i dogodne do noszonych teraz długich rękawiczek. Wreszcie całe białe płócienne gładkie oszyte haftem. Cena ich jest od 90 kop. do rs. 1 kop. 80. Powróconą modę żabotów uważamy za bardzo praktyczną, i elegancką, uważamy nawet, że nic tak odświeżyć nie może toalety jak pomienione żaboty, które robią z muślinu, wstawki haftowanéj i walansienki lub z krepy i walansienki. Cena ich od rs. 1 do rs. 6. Prześliczne czepeczki zatrzymały nas nie małą chwilę, bo wszystkie nadzwyczaj zgrabne i gustowne. Naprzykład czepeczek „Charlotte Corday“ prześliczny prostotą i fantazją. Główka na przodzie fałdowana, w kształcie czapeczki, wszytéj w przyramkę, na któréj mieści się plisowanie z muślinu i walansienki; z tyłu mieścił się karczek fałdowany w ząb, przepięcie z żółtéj wstążki otacza czepeczek na denku, z prawego zaś boku lecz więcéj do tyłu umieszczono kokardę płaską z pukli i końcy niebieskich i żółtych. Czepek „Rococo“. Na skrzyżowanéj zielonéj wstążce dano maleńkie deneczko stojące z muślinu białego, deneczko to oszyte falbanką muślinową i walansienką, przepiętą ruszką z walansienką; z tyłu koniec w ząb, oszyty walansienką, kokarda zielona przystraja tył czepeczka, egreta z tejże wstążki mieści się z prawego boku.

Czepeczek z tiulu brukselskiego i walansienki. Nad czołem w ząb dano plisowanie z tiulu, walansienki i lila wstążki. Na denko spada rodzaj katalanki z tiulu plisowanego, oszytéj walansienką i pikotem przewleczonym aksamitką czarną; z samego tyłu, kokarda ze wstążki lila, z prawego boku pukle z tejże wstążki i róże z aksamitką czarnéj. Szarfy z fałdowanego tiulu walansienki, pikotu i aksamitki dokończały całości czepka. Czepek z muślinu i walansienki. Podwójna riusza pomiędzy którą, dano pukle ze wstążki aksamitnéj czarnéj, na wierzchu czepeczka umieszczono dużą różę z niebieskiéj rypsowéj wstążki, z tyłu szeroki koniec z ranwersem oszytym walansienki pikotem i czarną aksamitką, przez środek którego spada koniec ze wstążki niebieskiéj. Szarfy także. Czepeczki te ubrane są wstążkami we wszystkich kolorach. Cena ich od rs. 2 do 5. Dodać jeszcze możemy że magazyn Pana Herse'go odrabia suknie lekkie, letnie i balowe, wykonane bardzo starannie i gustownie.

Od Redakcji.

Tygodnik Mód i Powieści wychodzić będzie w czwartym kwartale r. b.

Prenumerata zniżona pozostaje ta sama a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie Rs. 1 kop. 50.
Na Prowincyi z opłatą pocztową kwartalnie „ 2
Półrocznie „ 4
Rocznie „ 8

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać *wcześnie wprost do Redakcji* pod adresem J. K. Gregorowicza, ulica Żabia N. 956.

Przyjaciel Dzieci pismo tygodniowe illustrowane dla dzieci od 5 do 15 lat wieku, również w kwartale 4-tym wychodzić będzie.

Prenumerata nadzwyczaj niska pozostaje ta sama:

W Warszawie kwartalnie kop. 75.
Na prowincji i w Cesarstwie z opłatą pocztową kwartalnie Rs. 1
Półrocznie „ 2
Rocznie „ 4

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać pod tym samym adresem jak na Tygodnik Mód i powieści.

N. 37. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera.— Od Redakcji.—Bojaźń i odwaga. Powiastka przez Marję Brühl.—Jan Kolna, przez Teressę Jadwigę. Czyny nauczające, ułożone z historji starożytnéj i nowożytnéj.—Antylopy.—Wieści ze świata.—Korespondencje. **W dodatku:** Opowiadanie z drugiéj podróży Krzysztofa Kolumba. VII i VIII (z dwoma drzeworytami).

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

MIŁOŚĆ DZIEWICY

OPOWIADANIE

Z WYPADKÓW PRAWDZIWYCH

ZASZŁYCH MIĘDZY ROKIEM

1770 a 1794

UŁOŻONE PRZEZ

ERNESTA DAUDET.

(Dalszy ciąg).

Filip chciał mówić, Dolores nie pozwoliła mu.

— Ty razem z nią opuścisz więzienie, Coursegol zaprowadzi was w bezpieczne schronienie, tam żyć będziecie spokojnie. Nie żądam, abyś zaraz po odzyskaniu wolności poślubił Antoninę, ale gdy czas uśmierzy trawiącą cię dziś gorączkę, gdy spokój zawita do twej duszy i serca, wtedy spełnisz przyjęte zobowiązania, jak ci to honor i sumienie nakazuje.

Błagam cię, nie odmawiaj mej prośbie.

Filip smutnie wstrząsnął głową.

— A ty co zamierzasz czynić?

— Jeśli ujdę rusztowania i wyjdę z tego więzienia, niezwłocznie udam się za granicę, i tam, zgodnie z powołaniem mojem, wstąpię do klasztoru, i do ostatniej życia chwili modlić się będę o twój spokój i szczęście. Jednak przyrzekam ci że nie wykonam ślubów wieczystych, i jeślibyś kiedy zapomniawszy dzisiejszych uczuć, mógł bez narażenia spokoju serca mieć mię obok siebie, wtedy powrócę do was i stanę się drugą matką dla dzieci twoich.

— Nie, Dolores, tak być nie może.....nie mogę wbrew własnego serca zaślubić Antoniny; zmuszasz mnie do tego, iż wyjawię jej wszystko, niech sama postanowi co mam czynić, ale powiem jej że się oboje kochamy, że uczucia moje pozostaną niezmienne.

— Cóż chcesz uczynić, Filipie; milcz, na Boga!.... nie masz prawa wyjawiać jéj tajemnicy, która nie do ciebie tylko należy.

Rozmowa ta trwała dość długo, sala powoli zaczęła się zapełniać; wielu z więźniów zwróciło na nich uwagę, zaciekawieni co może być przedmiotem tak żywéj rozprawy. Spostrzegłszy to, Dolores rzekła śpiesznie.

— Idę przyprowadzić tu Antoninę, raz jeszcze błagam cię choćby w imię twéj dla mnie miłości, niech się nawet nie domyśli niczego, coby ją mogło zmartwić i zasmucić. Wszak nic nie nagli; wszyscy troje jesteśmy w więzieniu, i może, pomimo starań Coursegol'a, nie zdołamy się z niego wydobyć. Lada chwila któremuś z nas, a może i wszystkim razem mogą doręczyć akt oskarżenia,—więc jakakolwiek ma być przyszłość nasza, nie zatruwajmy sobie teraźniejszości, bolesnemi walkami rozdzierającemi duszę. Żyjmy, jak to niegdyś w Chamoudrin, kochając się i pocieszając wspólnie, to nam da siłę do znoszenia obecnych nieszczęść, a przyszłość zostawmy czasowi.

— Jakże wielką moc duszy posiadasz ukochana moja, i zgodził się na jéj żądanie zostawiające mu choć cień nadziei.

Odeszła, a Filip został otoczony przez panów i damy, które znał w Versaillu i na dworze księcia de Penthievre.

Gdy Dolores wróciła do celki, panna de Mirandol tylko co się obudziła; nie dostrzegła wzruszenia odbijającego się w twarzy przyjaciółki i uściskała ją, pytając:

— A Filip.

— Jest już tutaj, czeka na nas w sali.

Antonina ubrała się prędko i zeszły razem. Dolores mogła spostrzedz gdy się uściskały, jak mocno bije serce Antoniny na samą myśl, że zobaczy Filipa. Z tak szczerem wylaniem rzuciła się w objęcia narzeczonego, iż mimowolnie był tem wzruszony, i wyrzucał sobie, iż prawie znienawidził to urocze dziewczę, któréj jedyną winą było, że go pokochała tak szczerze od pierwszego wejrzenia.

— Ach! czemuż nie pozostałaś w Anglji; po cóż naraziłaś się na tak straszne niebezpieczeństwa, rzekł po chwili.

— Tak mi nakazywało serce i obowiązek; powinna byłam przybyć tu, aby umrzeć razem z tobą. Gdy po dwóch tygodniach strasznego niepokoju, dowiedziałam sie nareszcie o śmierci królowéj, zrozumiałam że skoro nie powiódł wam się zamiar oswobodzenia jéj, musisz sam w wielkiem znajdować się niebezpieczeństwie, że może zostałeś uwięziony—i niestety! nie omyliły mnie przeczucia. Postanowiłam przybyć do Paryża, i była to myśl błogosławiona, skoro odnajduję ciebie.

Odpowiedź ta dowodziła jak święte były w oczach Antoniny łączące ją z Filipem przyrzeczenia. Pomna na błogosławieństwo, udzielone im przez czcigodnego kapłana przy łożu umierającego margrabiego, Antonina uważała się niejako za żonę Filipa, i jako taka miała sobie za obowiązek dzielić wszelkie jego losy.

Dolores spojrzała na Filipa, a oczy jéj zdawały się mówić.

— I miałżebyś teraz powiedzieć, że ją nie kochasz? Kiedy przeciwnie powinieneś starać się tylko stać się jéj godnym, i zapewnić jéj szczęście do którego pod każdym względem ma prawo?

Filip był smutny i zakłopotany. Antonina oczekiwała choćby jednego słówka będącego dowodem radości z ujrzenia jéj, dowodem miłości którą mniemała budzić w jego sercu, ale Filip onieśmielony jeszcze obecnością Dolores, nie był w stanie przemówić, wyrazy zamierały mu na ustach.

Upłynęło chwil kilka, wszyscy niemal więźniowie znajdowali się obecnie w sali. Wspomnieliśmy już że owe więzienia, które terroryzm zapełnił swemi ofiarami, były wiernem, choć miniaturowem tylko odtworzeniem ówczesnych salonów arystokracyi paryzkiéj, zdziesiątkowanej gilotyną, proskrypcją i wygnaniem, ale która nie zbyt dawno jeszcze zapełniała świat rozgłosem swych intryg, dowcipu, miłostek, galanteryi i zbytku. I po za kratami więzienia kobiety nie przestały być wielkiemi paniami, mężczyźni nadskakującymi im galantami, i tak jedne jak drudzy więcej zawsze zajmowali się drobnostkami niż ważniejszemi sprawami.

Brak wszelkiego zajęcia i rozrywki, spotęgował jeszcze w więzieniach wrodzoną im lekkomyślność; lada błahostka dostarczała wątku do kilko-godzinnéj rozmowy, i nie raz żywsze budziła zajęcie, niż bohaterska odwaga z jaką ostatni ze skazanych wstępował na szafot.

Już rozmowa Filipa z Dolores zaciekawiła wielu; ciekawość ta wzmogła się jeszcze, gdy po chwilowéj nieobecności piękna dziewica wróciła prowadząc pod rękę pannę de Mirandol, i nie przedstawiając jéj nikomu, powiodła wprost do Filipa. Kto mogła być ta nowo przybyła tak młoda i powabna? i śledzono ich ruchy, starając się odgadnąć co mówili.

Filip postrzegł, iż stali się przedmiotem ogólnego zajęcia, zwrócił na to uwagę Dolores i Antoniny, i korzystając z pozoru oddalił się chcąc ochłonąć nieco z bolesnego wrażenia.

— Powrócę niezadługo, rzekł odchodząc.

Dolores spojrzała na Antoninę, była nadzwyczaj blada i drżała jak listek.

— Wróćmy do siebie, rzekła, jestem słaba i znużona.

Wszedłszy do celi Antonina padła na krzesło, gorzkiemi zalewając się łzami.

— Nie odpowiedział mi nawet! zawołała, przybycie moje sprawiło mu raczéj przykrość niż radość.

— Bo cię kocha i cierpi nad tem, żeś się naraziła dobrowolnie na grożące nam niebezpieczeństwo.

— Kocha mnie, mówisz!... O! ja na jego miejscu przybycia jego oczekiwałabym z utęsknieniem a powitałabym je z radością!— Widząc taki dowód miłości, ani pomyślałabym o niebezpieczeństwach na jakie się naraził dla zobaczenia mnie. Cóż może być okropniejszego dla kochających się istot, jak umierać zdala od siebie, umierać nie razem; o! w takim razie ten kto przeżyje musi być tak okropnie nieszczęśliwy, życie tak strasznym stanie się dlań ciężarem, iż pierwéj umierający nie może godniejszego siebie, wznioślejszego, szlachetniejszego utworzyć życzenia nad to, aby pozostały jak najśpieszniéj się z nim połączył.

Dolores nic nie odpowiedziała; pojmowała gorzki smutek ogarniający duszę Antoniny. Iona cierpiała niewymownie, znajdowała jednak pociechę i uspokojenie w saméj wielkości swéj ofiary, któréj użyteczność coraz więcéj się uwydatniała. To też z każdą chwilą utwierdzała się w postanowieniu swego bezgranicznego poświęcenia.

Cały wieczór upłynął im na poufnéj pogadance, w któréj odżyła cała przeszłość, a nareszcie przyszło do owéj chwili, kiedy Antonina przybyła do Chamoudrin i od pierwszego wejrzenia pokochała Filipa, przypomniała sobie nagle, iż pewnego poranku tenże zażądał od niéj chwilki samotnéj rozmowy. Czyniąc zadość jego woli pobiegła do parku niezmierną ożywiona radością, lecz jakaż była jéj boleść, gdy Filip wyznał jéj, że kocha Dolores i prosił aby do niéj przemówiła za nim. Długo dręczyło ją bolesne wspomnienie téj chwili, które jednak zatarło się zwolna gdy po wstąpieniu Dolores do klasztoru karmelitek w Awinionie, Filip zaczął okazywać się dla niéj życzliwszym.

Obecnie, to zatarte już wrażenie odradzało się z całą siłą, budząc straszny niepokój w duszy Antoniny. Zaczynała teraz pojmować, dla czego Filip tak nieustannie odkładał ich związek, dla czego powitał ją tak zimno, i widziała się znów w tem samem położeniu, jak przed czterema laty; jedna i taż sama zapora oddzielała ją od szczęścia. Filip kochał i kocha Dolores. Też same boleści i katusze jakie przecierpiała przed kilku laty, znów szarpały jéj duszę, tylko spotęgowane stokrotnie, bo dziś stokroć więcéj kochała narzeczonego i ślepo ufała jego przyrzeczeniom, które nigdy może spełnić się nie miały. Straszna to była boleść, podobna rwącemu bólowi rany otwierającéj się na nowo wówczas, gdy

po chwilowem zabliźnieniu, uważaliśmy ją za zagojoną.

Głośne łkania wydzierały się z jéj piersi, ukryła głowę w poduszkę, aby nie przebudzić Dolores; po tym rozpaczliwym wybuchu siły ją opuściły, a gdy powoli przyszła nieco do siebie i spokojniéj rozważyła swoje położenie, umyśliła powiedzieć wszystko Dolores, i jak przed kilku laty z jéj własnych ust poznać całą rozciągłość swego nieszczęścia. W téj właśnie chwili, przez małe okienko wdarły się do celki pierwsze promienie słońca, szare, bladawe, pozbawione téj ciepłéj barwy słonecznéj, która rozwesela i pieści wszystko czego się dotknie.

Dolores wstała i ubrawszy się usiadła przy łóżku przyjaciółki: niebawem na jéj zbladłéj twarzy dostrzegła ślady łez.

— Co tobie? czegoś płakała? zapytała z czułością.

— Nie dziw się, tak wiele przecierpiałam w ciągu téj jednéj nocy.

— Ale jakiż powód?

— Obojętność Filipa.

— Nie smuć się daremnie, Antonino; co uważasz za obojętność jest właśnie dowodem jego przywiązania. Przykro mu jest, że wbrew jego woli nie czekałaś w Anglii na jego powrót i naraziłaś się przez to na tak straszne niebezpieczeństwo.....

Chciała złudzeniami uspokoić Antoninę, ale ta smutnie wstrząsnęła głową, mówiąc:

— Jestżeś pewna, że takie są rzeczywiście uczucia i myśli Filipa, raczéj nie trzeba wnosić, że kocha inną?

— Kocha inną! skąd ci przyszła myśl podobna!.. Uspokój się, Filip wie, że jest twoim narzeczonym, zna swoje obowiązki i potrafi je spełnić. Zostaniesz jego żoną i będzie cię kochał.

— Mylisz się, on ciebie kocha!

— Mnie!.. Któż ci to powiedział?

— A więc to prawda! O nie omyliło mnie przeczucie.... wyszeptała. Albo nigdy nie przestał cię kochać, albo ujrzawszy cię znowu po tak długiem rozłączeniu, tak piękną i zachwycającą, nie mógł się oprzeć nieprzepartemu urokowi twych wdzięków, i dawna miłość zbudziła się do życia.

Łzy przerwały jéj mowę; Dolores przysunęła się i opierając jéj głowę na swojem ramieniu, rzekła łagodnie:

— Uspokój się, drogie dziecię, nie daj się obłąkać porywom rozgorączkowanéj wyobraźni. Gdyby nawet widok mój wzbudził w sercu Filipa, jakieś dawno zapomniane wspomnienie przeszłości, to czemże przelotne te wrażenia mogłyby zagrażać twemu szczęściu? Dawne uczucia jego nie powinny cię niepokoić, skoro dość było mego oddalenia, aby zapomniał o mnie; wspomnienia rozwieją się same przez się, gdy się znów rozłączymy.

Antonina uspokoiła się i najczulszemi pieszczotami okrywała Dolores, dziękując za powrócone nadzieje. Dolores mówiła daléj:

— Jeśli Bóg dozwoli abyśmy odzyskali wolność, pojedziesz z Filipem, ja zaś niezwłocznie wyjadę za granicę, i tam, jak to już mu powiedziałam, zamieszkam w klasztorze. Jest to najwłaściwsze dla mnie schronienie, gdyż nigdy nie pójdę za mąż.

— Droga, kochana Dolores, wracasz mi spokój i szczęście.

Miłość jest egoistyczną, a Antonina nie domyślała się nawet jak, straszną walkę Dolores staczała z własnem sercem. Nie badając więc powodów jéj postępowania, dziękowała jéj szczerze za odzyskany spokój, a w sercu jéj znowu odżyła nadzieja, że w niedalekiéj może przyszłości zostanie żoną Filipa.

XIV.

Trzy dni minęło, żadnéj w ich położeniu nie przynosząc zmiany. Antonina i Dolores rzadko i krótko rozmawiały z Filipem, który wyraźnie ich unikał. Nie umiał pogodzić się ze swoim losem, nie mógł oswoić się z myślą, że nigdy nie będzie mógł poślubić Dolores, wiedział dobrze, iż gdyby nawet opuściła więzienie, niezwłocznie postawi między nim a sobą nieprzepartą zagrodę. Dopókąd jeszcze mógł ją widzieć, na przemiany rozpaczał i łudził się nadzieją; raz zdało mu się, że nareszcie ulegnie jego prośbom i błaganiom, za chwilę przekonywał się, że nic nie zdoła odwieść młodéj dziewicy, od spełnienia ofiary, którą uważała za obowiązek serca i sumienia.

Antonina i Dolores szanowały jego smutek i chęć samotności; widząc, że ich unika nie schodziły prawie do sali, całe dnie spędzając w swéj więziennéj celce. Często rozmawiały o smutnem położeniu swojem; przewidywały jak smutny los je czeka i dziwiły się, że dotąd jeszcze nie zostały powołane przed trybunał rewolucyjny. Może jutro przyjdzie na nas koléj mówiły nieraz.

W cztery dni po przybyciu Filipa i Antoniny do Conciergerie, Aubry który bardzo polubił Dolores, przyszedł powiedzieć jéj. iż potrafił uzyskać urlop na jeden dzień, przez który w więzieniu zastąpi go Coursegol, którego przedstawił intendentowi jako swego brata. Raz już tym sposobem Coursegol mógł prawie dzień cały przepędzić z Dolores.

Teraz przybywał z zamiarem uwolnienia Dolores i Filipa, przynosząc wzmiankowaną kartę wyjścia w któréj sam wypisał ich nazwiska, „dla obywatela i obywatelki Chamoudrin". Dotąd nie wiedział o uwięzieniu p. de Mirandol, zobaczywszy ją w celce Dolores, zawołał z bolesnem zdziwieniem.

— Pani tu, panno de Mirandol?

— Od trzech dni, mój dobry Coursegol'u.

— Ależ karta służy tylko dla dwóch osób, zawołał przerażony.

Antonina nie zrozumiała o co chodzi; Dolores przysunęła się prędko do Coursegola mówiąc cicho:

— Nie mów nic, daj mi kartę wyjścia, w swoim czasie posłuży ona komu należy.

Serce poczciwego Coursegol'a ścisnęło się boleśnie; odgadł, że Dolores chce uwolnić Filipa i Antoninę.

— Boże mój, rzekł sobie w duchu, ależ w takim razie nie będę mógł jéj ocalić!...

I w głębi serca uczuł głęboki żal do Antoniny, już to drugi raz stawała się zawadą do szczęścia Filipa i Dolores. A cóż ona go obchodziła!..... Swojem przybyciem do Chamoudrin przeszkodziła połączeniu się Filipa i Dolores.... Teraz znów w niwecz obraca tyle jego trudów i usiłowań podjętych w celu oswobodzenia tych najdroższych mu na świecie istot...... Zawsze i wszędzie jest im zawadą do szczęścia.....

I może byłby jéj to wypowiedział, ale Dolores, jakby odgadując co się w duszy jego działo, spojrzała nań błagalnie,—potrząsł smutnie głową i odszedł oznajmić Filipowi, iż doręczył Dolores kartę wyzwolenia.

— Nikt z nas z niéj nie skorzysta, odrzekł smutnie Filip. Gdyby mogła służyć dla dwóch kobiet, zmusiłbym Dolores i Antoninę aby z jéj pomocą opuściły więzienie, ale skoro ja tylko i jedna z nich mogłaby wyjść ze mną, pozostaniemy wszyscy troje, bo ani ja, ani żadna z nich nie chciałaby wyjść pozostawiając drugą.

— A więc wszystkie moje starania daremne! Cudów prawie dokazałem, aby was uwolnić, a jednak......

Łzy stłumiły jego mowę; oczy zabłysły gniewem. Filip zaledwie zdołał go uspokoić przedstawiając niepodobieństwo ucieczki dwóch tylko osób, gdy wszystkie trzy były tak ściśle, choć odmiennemi węzły połączone z sobą. Jakiż to straszny wyrzut sumienia dręczyłby do ostatniéj chwili dwie oswabadzające się osoby, gdyby miały serce opuścić towarzyszkę niedoli.

Coursegol odszedł z mocnem postanowieniem starania się o nowy bilet, któryby wszystko troje uwolnił z więzienia. W tym dniu jego służby w więzieniu, Antonina i Dolores krótko, lecz kilkakrotnie rozmawiały z Filipem w wspólnéj sali; gdy odchodził Dolores zbliżyła się do Filipa mówiąc:

— Czy zawsze będziemy się tak unikać?

— O! nie, ukochana moja! chcę odtąd żyć twojem życiem, odrzekł wzruszony smutkiem dźwięczącym w jéj głosie. Bądźmy teraz jak najdłużéj z sobą, korzystajmy z każdéj chwilki, abyśmy jeśli mamy umierać, nie żałowali chwil zmarnowanych należących się przyjaźni.

— Teraz poznaję cię, Filipie, i podała mu rękę.

I pozostali razem aż do chwili sygnału dającego znać więźniom, iż powinni wracać do swych celi i gasić światło.

Nazajutrz rano Dolores zeszła sama do sali i tam dość długą miała rozmowę z Filipem.

— Kiedy Bóg nas tu połączył, rzekła tkliwie i poważnie zarazem, używajmyż spokojnie ostatnich może chwil życia, nie zatruwajmy ich niezgodą wtedy właśnie, kiedy jedność i spokój jedyną mogą nam być pociechą. Zapomnij o uczuciach twoich dla mnie, i o tem tylko pamiętaj, że nigdy nie zostanę twoją żoną, i że obowiązek nakazuje ci poślubić Antoninę, z którą łączą cię najświętsze zobowiązania. Nie smuć mnie widokiem twéj boleści, bo ona rozdziera mi serce, ale nie zdoła zmienić mego postanowienia.

Filip przyznał jéj słuszność. Na co się przyda, pomyślał, troszczyć o przyszłość, kiedy jutro może wszyscy troje zginiemy na rusztowaniu? I uścisnął dłoń jéj, mówiąc:

— Masz słuszność droga siostro, będę się starał być godnym ciebie.

Dolores przyprowadziła Antoninę, i przez cały ten dzień prawie się nierozstawali.

Nazajutrz około czwartéj wieczorem, wszyscy prawie więźniowie byli zgromadzeni w wspólnéj sali; był to grudzień w którym noc prędko zapada. Czarny zmrok zaczął rozpościerać się w sali, jakby przypominając więźniom, że zbliża się chwila rozejścia. W tym ruch jakiś zrobił się w tłumie więźniów, było ich około trzystu; wszyscy zaczęli cisnąć się ku ścianom, aby wolne miejsce zostawić w pośrodku.

Mężczyzna jakiś wszedł do sali, ubrany był czarno; na kapeluszu błyszczała trójkolorowa kokarda, w ręku trzymał pęk papierów. Był to woźny trybunału rewolucyjnego, za nim szło czterech żołnierzy. Bezwiedne narzędzie mordercze niewinnych ofiar, odczytywał w więzieniach listę proskrypcji i doręczał więźniom akta oskarżenia, według wykazu ułożonego przez Komitet bezpieczeństwa publicznego. Jak groźne widmo ukazywał się codzień o jednéj godzinie surowy, srogi, okrutny, nieubłagany, głuchy na łzy i prośby, straszny poprzednik kata, wymieniający i piętnujący ofiary śmierci.

Każde ukazanie się jego wszystkich prawie przejmowało dreszczem. W chwili ogólnego ruchu,

przypadek zrządził, że Filip i Antonina popchnięci zostali w głąb sali; Dolores została tuż przy pozostawionem przejściu.

Woźny zbliżył się, rozwinął długą listę, i zaczął głośno wymieniać osoby mające zaraz jutro rano stawić się przed trybunałem rewolucyjnym. Cóż to za mięszanina osób i imion! Plebejusze i szlachta, zakonnice i księża; starcy i dzieci; kobiety i mężczyźni, wszyscy i wszystko byle gilotyna nie próżnowała.

Za każdem wymienieniem więźnia, głuchy szmer rozlegał się w sali, i trwał krócéj lub dłużéj, odnośnie do stopnia, wieku, płci lub nareszcie współczucia jakie budził wywołany. Następnie nieszczęśliwa ofiara zbliżała się, odbierała z rąk woźnego akt oskarżenia, wymieniający nigdy niespełnione winy oraz rozkaz stawienia się nazajutrz przed trybunałem. Jeśli wywołany posiadał obok siebie w więzieniu, ojca, dzieci, męża lub żonę, rozpaczliwy krzyk rozlegał się w sali.

Jeżeli przeciwnie wezwany nie miał obok siebie tak blizkich sercu swemu istot, zbliżał się śmiałym krokiem, odbierał spokojnie akt zwiastujący mu śmierć tak blizką, i nieraz pośpiewując wracał w grono towarzyszy więzienia. Tu obce przed chwilą dłonie wyciągały się do niego żegnając bratnim uściskiem, utwierdzając w odwadze. Dolores spoglądała na te sceny załzawionem okiem; iluż to już niewinnych widziała tak idących na rusztowanie Stała niby spokojna, w tem nagle zbladła i zachwiała się—usłyszała wezwanie Antoniny de Mirandol. Obejrzała się w około, nie widziała nigdzie Filipa ani Antoniny, przed chwilą właśnie opuścili salę. Woźny drugi raz powtórzył wezwanie—nikt nie odpowiedział tylko twarz Dolores rozpromieniła się jakby niebiańską aureolą, anielski uśmiech zajaśniał na ustach.

— Antonina de Mirandol, krzyknął po raz trzeci, podnosząc głos.

— Jestem! rzekła przybliżając się.

— Nazywasz się Antonina Mirandol?

— Tak, obywatelu.

Wiele z osób znających Dolores, posłyszały to szlachetne kłamstwo powtórzone dwukrotnie, i spoglądali na nią z zadziwieniem i przerażeniem zarazem; szmer uwielbienia rozległ się w około. Ona nic nie słysząc, z okiem płonącem bohaterską odwagą i dumą, pewną ręką odebrała akt oskarżenia, i poważna, spokojna wróciła na swoje miejsce.

Nazwisko Antoniny de Mirandol, było ostatniem na pogrzebowéj liście.

— Wszyscy którym wręczyłem akt oskarżenia, mają jutro o dziesiątéj stawić się przed sądem! zawołał woźny, złożył papiery i odszedł.

W tejże chwili wiele osób otoczyło Dolores.

— Cóżeś uczyniła, nieszczęśliwe dziecię?

— Czyż tak gorąco pragniesz śmierci?

— Po cóż przyznałaś się do cudzego nazwiska?

Podobne pytania powtarzały się w około. Dolores spokojnie spojrzała na pytających, i odrzekła głosem łagodnym, ale zdradzającym niezłomną wolę spełnienia powziętego postanowienia:

— Błagam, dozwólcie mi swobodnie spełnić poświęcenie, i nie probujcie daremnie odwrócić mnie od niego, bo to największa moja pociecha i szczęście; błagam nadewszystko dochowajcie mi tajemnicy.

Nikt nie rzekł już ani słowa, wyrażone jéj życzenie stało się rozkazem. Zresztą wówczas podobne poświęcenia nader często się wydarzały, aby mogły zbyt długo zajmować uwagę. Gdy Dolores się oddaliła, tłum więźni z uszanowaniem rozstępował się przed nią. Wyszła na dziedziniec po którym przechadzali się Filip i Antonina. Gdy zbliżyła się do nich, na jéj pięknéj twarzy nie było śladu przebytego wzruszenia. Rozmawiała z nimi spokojnie aż do chwili, gdy odgłos bębna oznajmił więźniom aby wracali do siebie. Wyciągnęła rękę do Filipa, i ściskając dłoń jego, rzekła z uśmiechem: Dobranoc!

I obie z Antoniną wyszły z sali; Antonina weszła do celi, a Dolores zatrzymała się w korytarzu, aby pomówić z nadzorcą Aubry.

— Czego żądasz, obywatelko?

— Trzeba koniecznie dziś jeszcze zawiadomić Coursegol'a, że jutro rano muszę się z nim widzieć, gdyby nie przyszedł przed dziewiątą, jużby mnie tu nie zastał.... o dziesiątéj mam się stawić przed trybunałem rewolucyjnym.

— Ach!.. myślałem, że może zapomniano o tobie.

— Kat nie zapomina o swych ofiarach—ale cicho, ani słowa o tem przed moimi przyjaciołmi, a szczególniéj przed moją towarzyszką.... Byłeś zawsze dobrym dla mnie, nie odmawiaj mi téj ostatniéj pewnie przysługi i chciéj zawiadomić Coursegol'a.

Nadzorca przyrzekł spełnić żądanie i odszedł zasmucony, gdyż bardzo polubił Dolores,—a ona prędko weszła do celi i po zwykłéj modlitwie udała się na spoczynek.

Dolores była zupełnie spokojna; pojmowała doskonale znaczenie i doniosłość swego postanowienia; wiedziała, że niechybnem jego następstwem będzie śmierć na rusztowaniu, nie żałowała jednak uczynionego kroku, ani pomyślała zstępować z téj drogi bezgranicznego zaparcia siebie. Wiedziała, że najsurowszy obowiązek nie nakazywał jéj takiéj ofiary, ale zamiast przerażać, śmierć otoczona taką aureolą bohaterstwa, budziła w jéj duszy uczucie świętéj radości—możnaż było lepiéj zakończyć życie którego cały wątek był jednem nieprzerwanem pasmem poświęcenia?...

Nad ranem parę godzin spała spokojnie, potem wstała i ubrała się staranniéj niż zwykle. Nigdy jeszcze nie wydawała się tak piękną; spokój panujący w jéj duszy, uniesienie poświęcenia, gorąca wiara, opromieniały twarz jéj jakby urokiem nieśmiertelności. Ubrawszy się, uklękła i w gorącéj zatonęła modlitwie, dusza jéj rwała się do Boga, z którym już niezadługo połączyć się miała. Była mocno wzruszoną ale spokojną; łzy nie płynęły z jéj oczu.

— I czemuż, myślała sobie, miałabym obawiać się śmierci, która jest tylko przejściem do lepszego życia! Tam, w nieznanych sferach gdzie dusza moja zamieszka, połączę się ze wszystkimi których tu kochałam, a którzy już dawniéj przenieśli się do wieczności. Tam zobaczę margrabiego któremu tyle winna jestem wdzięczności, margrabinę. która była dla mnie najlepszą matką, i nareszcie prawdziwą matkę któréj tu nawet nie znałam. Tam oczekiwać będę na ukochanych moich z którymi teraz się rozłączam, tam, z wysokich przestrzeni czuwać będę nad nimi i modlić się o ich spokój i szczęście.

Wzmocniona modlitwą, wstała i przystąpiła do łóżka Antoniny śpiącéj spokojnie; popatrzyła na nią i wyszeptała wzruszonym głosem:

— Oby śmierć moja mogła zapewnić ci szczęście!.. oby Filip mógł cię pokochać, tak jak ja go kocham!.

I wyszła z pokoju. w korytarzu spotkała nadzorcę:

— Coursegol czeka na ciebie, obywatelko.

— O dziękuję ci! zawołała z radością i pobiegła do kraty. Coursegol stał przy niéj blady, zmieniony, z oczami zapuchłemi od płaczu. Noc całą przesiedział pod murem więzienia, oczekując wyznaczonéj godziny.

— Aubry powiedział mi, że zostałaś powołaną przed trybunał rewolucyjny,—ale to być nie może, to jakaś omyłka.. nie mogą ci przecież zarzucić żeś spiskowała przeciw rzeczypospolitéj.

— Wczoraj wręczono mi akt oskarżenia...

— O Boże mój!... co tu począć... ach! czemuż nie chciałaś mnie słuchać i korzystać z karty wyjścia.. byłabyś dziś wraz z Filipem wolna i szczęśliwa.

— Ale w takim razie nie możnaby ocalić Antoniny.

— A cóż mnie obchodzi panna de Mirandol? Ona jest mi zupełnie obcą, a ciebie kocham jak córkę i nie przeżyłbym twéj śmierci... Cudów prawie dokazałem, żeby was uwolnić i zapewnić wam spokój i szczęście... i twoje ociąganie się udaremniło wszystko..... O Bóg jest niemiłosierny.....

— Coursegol'u nie bluźnij.... uspokój się.. .

Nie słuchał, mówił z gwałtownem uniesieniem, głośne łkanie tłumiło wyrazy. Tworzył tysiące najniepodobniejszych projektów; już to chciał porwać Dolores i uciekać, już to iść paść na kolana i sędziów błagać o miłosierdzie, to znów myślał zniewolić Vauquelas'a, aby wyjednał uwolnienie Dolores.

Zaledwie zdołała go uspokoić i skłonić, aby zaniechał daremnych pokuszeń ocalenia jéj.

— Nie smuć się, Coursegol'u, mnie myśl o śmierci nie trwoży ani przeraża; życie moje dla nikogo nie jest potrzebnem, nie mam nikogo prócz Filipa, Antoniny i ciebie... pocieszajcie się myślą, że się znajdziemy tam, gdzie już nie ma ani śmierci ani rozłączenia...

— O! za mała to pociecha! zawołał. Od chwili gdy przy kracie pałacu de Chamoudrin, odjąłem cię od wyschłéj piersi umierającéj matki, codzień silniéj przywiązywałem się do ciebie. Przez ciebie i dla ciebie czułem się ojcem, ty stałaś mi się wszystkiem, bez ciebie nie pojmowałem już życia. Ty byłaś mi uśmiechem, szczęściem, jedyną jasną gwiazdką smutnego mego życia. I dziś, gdy byłem tak bliskim zapewnienia ci szczęścia, możeż dozwolić, aby cię niewinną na śmierć skazano...

Umilkł, pierś jego zawrzała zarazem boleścią i gniewem; po chwili zawołał jakby nagłą uderzony myślą:

— Pokaż mi akt oskarżenia!

— Po co? odrzekła, nie chcąc dać poznać prawdy.

— Chcę wiedzieć o jakąż to zbrodnię ciebie oskarżają!.. żaden zarzut nie może być jakimkolwiek poparty dowodem... wyszukam ci obrońcę, a nareszcie sam stanę w twéj obronie...

— Nie czyń tego, dobry, poczciwy Coursegol'u; jeśli chcą méj śmierci, wszelkie starania byłyby daremne; mnie nie ocalisz a siebie zgubić możesz.

Zaledwie słów tych domówiła, usłyszała po za sobą jakieś ciężkie kroki; woźny wszedł do sali, aby oskarżonych poprowadzić do sądu. Zaczął głośno wymieniać nazwiska powołanych przed trybunał.

— Żegnaj mi! żegnaj kochany Coursegol'u, zawołała stłumionym głosem, i szybko odbiegła od kraty.

Teraz po raz pierwszy uczuła mocne ściśnienie serca na myśl, że może nigdy już nie zobaczy poczciwego Coursegol'a, który ją kochał tak szczerze.

— Nie żegnam się z tobą... zobaczymy się jeszcze... do widzenia! I śpiesznie się oddalił.

Dolores obejrzała się po sali—i ucieszyła się widząc, że nie ma w niéj Filipa ani Antoniny; lękała się bowiem wrażeń mogących zachwiać jéj odwagę, i chciała ponieść do grobu tajemnicę poświęcenia, które życiem przypłacić miała. Pragnęła usilnie aby Filip nigdy się nie dowiedział, iż umierała za Antoninę, lękając się aby nie znienawidził narzeczonéj i nie skazał jéj na wieczne wyrzuty sumienia.

Ze dwadzieścia osób znajdowało się w sali; były to po większéj części nieszczęśliwe ofiary powołane

przed trybunał rewolucyjny; jakże mało kto z nich cieszył się spokojem zalegającym duszę Dolores!.... Młody jakiś mężczyzna usiadł samotny w kącie sali, a spojrzenia jego błąkały się w około, na żadnym nie zatrzymując się przedmiocie. Ciało jego było w sali więziennéj, ale duch gdzieś w dalekie unosił się strony; widać myślał o dniach minionych, których wspomnienie tak upornie opanowywa myśl umierających. Nieco dalej, siwowłosy starzec przeznaczony na ofiarę gilotyny, starał się zapanować nad własnem wzruszeniem i myślał tylko o córce, którą uspokajał i pocieszał,—a ona, zawieszona na jego szyi gorzkiemi zalewała się łzami... Tam znowu kapłan pobożnie odmawiał pacierze, które niekiedy przerywali mu więźniowie pragnący, aby im dał ostatnie błogosławieństwo... Z osób zebranych w sali, wezwani na śmierć okazywali więcéj odwagi i mocy, niż ci co ich opłakiwać mieli.

Dolores z kolei zbliżyła się do kapłana i uklękła prosząc o błogosławieństwo; anielski spokój rozlany w jéj twarzy zwrócił jego uwagę.

— Jakżeś ty spokojna, dziecię moje, w obec niechybnéj niemal śmierci.

— Ojcze mój, jam szczęśliwa że mogę umrzeć..

Niedokończyła..... sługa boży odgadł widać, że pod tą rezygnacją ukrywało się szlachetne poświęcenie; spojrzał na nią rozrzewniony i rzekł pochylając głowę z uszanowaniem.

— Dziecię moje, dajesz nam wszystkim przykład męztwa i spokoju, uczysz jak umierać mamy. Daję ci ostatnie błogosławieństwo i rozgrzeszenie, i proszę westchnij za mnie do Tego, który nie odrzuca modlitwy czystego serca.

Gdy woźny wygłosił nazwisko Antoniny de Mirandol, przyłączyła się do więźniów, i otoczeni licznym pocztem żołnierzy poprowadzeni zostali do sądu. Gdy wchodzili do sali sessyonalnéj, przeraźliwy wrzask rozległ się w około:—był to okrzyk radości *sans-culotów* i pończoszniczek, rozkoszujących się widokiem nowych ofiar gilotyny. Codziennie zalegali oni tłumnie salę posiedzeń trybunału rewolucyjnego, przysłuchając się radośnie coraz nowym wyrokom śmierci.

Zobaczywszy więźniów, dzika ta zgraja zaczęła im urągać i odgrażać się, i zaledwie żołnierze zdołali przeprowadzić ich na oznaczone miejsce. Była to mała przestrzeń pozostawiona przed kratkami sądu; tu stała niewielka ława na któréj posadzono jedenastu więźni; siedzieli tak ściśnięci, iż ruszyć się prawie nie mogli. Z prawéj strony siadał oskarżyciel publiczny—po lewéj przysięgli. Siedzieli już z dziesięć minut, wrzawa piekielna nie ustawała; w tem nagle drzwi się otwarły— sędziowie weszli do sali. Wszyscy ubrani byli czarno, mieli kapelusze z piórami i trójkolorowe szarfy. Oskarżyciel zasiadł w swoim fotelu, przysięgli z hałasem zajęli swe miejcca;—rozpoczęło się posiedzenie.

Niepodobna wystawić sobie jak summaryczną i pośpieszną była procedura tego trybunału; najczęściéj oskarzeni ani wiedzieli za co zostali przed nim stawieni. Ów tak zwany akt oskarżenia, był to po prostu kawał papieru zabazgrany tak szkaradnie i nieczytelnie, iż przeczytać go nikt nie mógł. Prezydujący wymieniał jakieś nazwisko; wezwany w ten sposób wstawał i odpowiadał na zadawane pytania. Jeśli odpowiadał nieśmiało lub okazał najlżejsze zmieszanie—był to niezbity dowód że jest winien; jeźli chciał mowić dłużéj, nakazywano mu milczenie. Ktokolwiek chciał świadczyć na zgubę oskarżonego, słuchany był najchętnéj, pragnących przemówić w jego obronie, pozbywano się prędko. Następnie oskarżyciel publiczny mówił przez pięć minut, i zgodnie z jego wnioskiem, trybunał skazywał lub uwalniał oskarżonego. Ostatnie rzadko się bardzo zdarzało. Tego dnia od 10 do 12-ej jedenaście osób zostało skazanych na śmierć. Przyszła koléj na Dolorese.

— Jak się nazywasz? zapytał prezydujący?

— Antonina de Mirandol.

Wymówiwszy to nazwisko, usłyszała po za sobą krzyk przytłumiony,—obejrzała się. W pośród tłumu, w pierwszym rzędzie ujrzała Coursegol'a wspartego na ramieniu Bridoul'a, twarz jego zdradzała niewysłowione cierpienie, febryczny dreszcz przebiegał członki. W téj chwili poznał bohaterskie poświęcenie młodéj dziewicy. Lękając się aby jéj nie zdradził, wzrokiem nakazała mu milczenie: był posłuszny, bo pojmował doskonale, iż teraz zeznanie jego na nicby się nie zdało; zgubiłby Antoninę nie ocalając Dolores. Podobne fakta często bardzo się wówczas zdarzały. Pośpieszna procedura bywała powodem pomyłek zapóźno poznawanych, nie jednokrotnie stracono ojca za syna syna za ojca, brata za brata; często ktoś padał ofiarą podobieństwa nazwiska, gdyż zasadą było Jouquier'a Tinville, iż lepiéj stracić stu niewinnych, niż oszczędzić jednego winnego. Dolores została skazaną pod imieniem Antoniny de Mirandol. Był to ostatni wyrok, sędziowie mieli się rozchodzić, gdy nagle mężczyzna jakiś przedarł się przez tłum i stanąwszy przed kratką, krzyknął głośno:

— Wyrok wasz jest niecny i niesprawiedliwy, wyście nie sędziowie, ale mordercy i kaci.

To powiedziawszy skrzyżował ręce na piersiach, a śmiały wzrok jego zdawał się wyzywać sędziów, uniesionych oburzeniem i gniewem.

— Aresztować tego człowieka, krzyknął ze swego krzesła oskarzyciel publiczny.

Dwóch żandarmów zbliżyło się do Coursegol'a; oskarżyciel publiczny zawołał znowu zwracając się do sędziów:

— Obywatele sędziowie! stawiam go przed wami; wyprowadźcie śledztwo, i niech przysięgli wydadzą wyrok.

Słysząc wyrok śmierci wydany na Dolores, Coursegol postanowił umierać z nią razem. Dziewica zrozumiała jego spojrzenie, i po raz pierwszy dnia tego rzęsiste łzy puściły się jéj z oczu.

Rozpoczęła się inkwizycya; powiedziawszy nazwisko swoje, Coursegol rzekł śmiało:

— Powiem bez ogródek co jest powodem mego postępowania. Zbrzydły mi okrucieństwa i mordy jakich się bezprzestannie dopuszczacie, zbrzydła mi rzeczpospolita i jéj stronnicy. Jestem rojalistą i pragnę krwią moją stwierdzić to wyznanie.

— Obywatele przysięgli! wrzasnął oskarżyciel publiczny, zanosząc się od gniewu, żądam najsurowszéj kary na tego zuchwalca; niech przykład jéj odstręczy innych.

— Ależ to warjat, odezwał się któryś sędzia.

— Nie! nie! nie jestem warjatem, zawołał. Precz z Rzeczpospolitą!.. niech żyje król!...

Śmiałość Coursegol'a była tak niesłychaną, iż niewysłowione wywołała zdumienie; cisza zaległa salę. Sędziowie i przysięgli spoglądali po sobie—nareszcie po upływie kilku minut Coursegol został skazany na śmierć, za znieważenie trybunału w miejscu i podczas urzędowania, oraz za wydawanie buntowniczych okrzyków. Po wyroku zbliżył się do Dolores, która teraz głośnym wybuchnęła płaczem.

— Dziecię moje, zawołał, nie miałem siły żyć bez ciebie, nawet śmierć nas nie rozłączy.

— Mój przyjacielu! mój opiekunie! mój ojcze! zawołała, rzucając się w jego objęcia. Przycisnął ją do piersi i tak pozostali do chwili, w któréj rozkazano więźniom wracać do więzienia, téj ostatniéj stacji przed gilotyną.

XV.

Gdy się to działo w trybunale Antonina przebudziła się, i pierwszéj chwili zaniepokoiła ją nieobecność przyjaciołki. Ubrała się prędko i zeszła do wspólnéj sali, gdzie spodziewała się znaleźć Dolores. Nie zastawszy jéj tam wyszła na dziedziniec, przeszła korytarze i znowu wróciła do sali; tu spotkała Filipa.

— Gdzie jest Dolores? zapytała niespokojna.

— Nie widziałem jéj dziś jeszcze, odrzekł zaniepokojony trwogą przebijającą w jéj głosie,

— O Boże mój! wyszeptała, i blada, drżąca z przerażenia, załamała dłonie.

— Przerażasz mnie! cóż się stało?

— Wielkie może nieszczęście!.... I zaledwie zdołała się uspokoić i wyjawić Filipowi powód swego przerażenia. Filip zachwiał się na nogach, i jego ogarnęły smutne przeczucia. I jak szaleni, sami nie wiedząc co robią, zaczęli biegać po korytarzach do których przystęp nie był wzbroniony więźniom, pytali kogo spotkali, jedni nic nie wiedzieli, a inni może przez litość nie chcieli im wyjawić prawdy. Nareszcie nadszedł Aubry, zarzucili go pytaniami.

— Jakto? więc nie wiecie.... odrzekł zadziwiony i wzruszony zarazem. Obywatelka Dolores odebrała rozkaz stawienia się przed trybunałem.

Z piersi Filipa i Antoniny wydarł się głośny krzyk boleści i przerażenia. Filip stał niemy jak posąg boleści. Antonina płakała głośno, i wypytywała nadzorcę jak się to stać mogło. Tyle tylko mógł powiedzieć, że wczoraj wieczorem Dolores oznajmiła mu, iż jest zapozwana przed trybunał, prosiła aby przywołał Coursegol'a, który przybył przed dziewiątą; że Dolores wyszła do niego spokojna i piękna jak nigdy, i po długiéj rozmowie pożegnała go i razem z innemi więźniami zaprowadzoną została do sali posiedzeń trybunału rewolucyjnego.

Wiadomość ta pogrążyła w rozpaczy Filipa i Antoninę; prawie bezprzytomni, oboje wsparli się o ścianę i słowa wymówić nie mogąc, spoglądali na siebie w osłupieniu. A jednak mimo bezładu ogarniającego ich umysły, oboje o jednem myśleli, oboje zapytywali siebie dla czego Dolores, ukryła przed niemi tę straszną prawdę, dla czego pozbawiła ich téj pociechy aby razem umierać mogli. Jakże to byłoby błogo umierać z nią razem, opuścić ten świat, który odtąd dla tych co ją przeżyją stanie się prawdziwą łez doliną. Przecież nawet kaci piastujący wówczas godność sędziów, nie mogliby odmówić im téj ostatniéj pociechy, aby jednocześnie wysłać ich na gilotynę.

W tem Aubry wszedł do sali, mówiąc:

— Oskarżeni wrócili z trybunału, obywatelka Dolores jest z nimi w sali skazanych, i pragnie zobaczyć się z wami.

— W sali skazanych! zawołała Antonina.

(d. n.)

Opis do N. 37.

(*Dokończenie*).

N. 24. Alpagowa sukienka dla dziewczynki. Pod sukienkę z alpagi białej w czarne muszki poddaje się podszewkę. Długość sukienki wynosi 50 cent. a szerokość 180. Rękawki rozcinane są na wierzchu ramienia. Pasek trzy cent. szeroki dopełniony karoczkiem, złożonym z trzech części. Każda z gładkich bocznych części karoczka liczy 12 cent. dolnéj, 9 cent. górnéj szerokości; długości z przodu 5 cent. i 7 cent. z tyłu. Tylna część karoczka 30 cent. szeroka, zwężona jest założeniem dwóch fałd do 14 cent. Długości liczy z tyłu 11 cent. w pośrodku, a na bokach zaokrągla się do 8 centymetrów. Pliski 2 cent. szerokości zdobiące sukienkę podług ryc. 24 są z materjału sukni, z niebieską jedwabną wypustką. Riusze na przodzie sukienki są 2 i pół cent. szerokie i w odstępach 10 cent. przyszywane niebieską pół cent. szeroką pliską.

N. 25—26. Staniczek z baskiną przyszytą do paska. Krój N. VII, Fig. 16 — 20. Na sukienkę, pliski i kokardy bierze się materjał gładki niebieski, na tunikę zaś stanik i karoczek przybrany falbanką, wzięty materjał wełniany w białe i popielate paski. Spódniczka na podszewce, 44 cent. długa a 180 szeroka, u dołu jest podług ryciny 25, przybrana plisami 3 cent. szerokiemi wyszytemi białym jedwabiem, ściegiem cierniowym, z wypustką z materjału w paski białe z popielatym. Tunika podpinana z tyłu składa się z bryta przedniego 27 cent. długiego w środku a 20 cent. z boków, szerokiego 55 cent. u dołu i 31 cent. w górze. Tylny bryt trochę ścięty skośno od góry, ma 39 cent. długości i 75 cent. szerokości.

Dwa cent. szerokie plisy do tuniki, stanika i karoczka założonego w fałdę i wszytego w niebieski pasek, są wyszyte ściegiem cierniowym podług wzoru ryciny 26. Podłużne przybranie stanika odznaczone jest na Fig. 16 — 17 linjami. Kokardy na rękawach ze skosu są 3 cent. a przy pasku 4 cent. szerokie.

N. 27—30. Opisy na dodatku z krojami.

Opis N. 38.

N. 1. Sukienka z karoczkiem. Sukienka podana na rycinie 1 odrobiona jest z marynarskiego płótna; do wyjścia na ulicę potrzebny jest kaftaniczek, którego wzór podamy w numerze 39. Błękitne 1 i pół cent. szerokie płócienne pliski, zakończone z brzegów białą od spodu przystębnowaną wypustką, stanowią podług wzoru przybranie sukienki. Karoczek przyszyty do paska, zakończony kokardą, składa się z trzech części. Część środkowa, przefałdowana i zaokrąglona u dołu, jest 17 cent. długą, 44 cent. szeroka, dwie przednie części u dołu ścięte skośno liczą z brzegów prostych po 11 cent. długości i do 15 centy. szerokości. Kaftanik do téj sukieneczki jest z kołnierzem marynarskim 28 cent. długim z prostego brzegu, a z przednich skośno ściętych końcy 12 cent. szerokim.

N. 2. Ubranie ze stanikiem z baskiną i tuniką. Suknia ta odrobiona jest z materji wełnianéj w jasnym kolorze écru. Spódnica przybrana skośnym wolantem, z brązowéj materji wełnianéj lub jedwabnéj, mającym 25 cen. szerokości, z obrąbkiem na wierzchu dopełnionym jasną wypustką. Po nad wolantem dany garnirunek składający się z plisowanéj falbanki i patek zaokrąglonych u dołu, podszytych podszewką 12 cent. szerokich, 17 cent. długich, przybranych trzema brązowemi pliskami i frendzlą kręconą brązową z écru. Plisowanie składają kawałki po 38 cent. długie 10 cent. szerokie, pliska z brązową wypustką i riusza dubeltowa 2 cent szeroka, stanowią nagłówek. Przy tunice dane takież same przybranie z wyjątkiem riuszy i znacznie węższe. Tunika ułożona od góry w bufy przedzielone dwiema szarfami po 65 cent. długiemi i 19 szerokiemi z dubeltowo złożonéj brązowéj materji, zakończouemi falbaneczką. Szarfy przyszywają się ku lewéj stronie na 5 cent. jedna od drugiéj. Kamizeleczka z brązowéj materji, przykrajana z tyłu w kształcie trójkątnéj chusteczki 11 c. długiéj; wązkie pliseczki i frendzla stanowią przybranie. Epolety składają się z dwóch części plisowanych zwężających się ku brzegom, 10 cent. ku środkowi szerokim, złączonych z sobą patką 18 cent. długą i 11 cent. szeroką. Wyłożenia na rękawach 11 cent. szerokie, z jednéj strony są zaokrąglone.

N. 3. Sukienka formą „princesse". Spódniczka i staniczek krajane są w jednym ciągu z niebieskiéj popeliny i wszystkie szwy z wyjątkiem bocznych dopełniają się wypustką ze sznurkiem. Do oszycia ząbków u dołu wolantu 11 cent. szerokiego i przy rękawach, używa się czarnéj plecionki lub włóczką deseń wyszywa. Pasek 3 cent. szeroki szarfy z tyłu i wykrój szyi, są także wyszywane w około.

N. 4—5. Wstawki robotą na widełkach, szydełkową i frywolitową. Odrobione z bawełny szlaczki te, bardzo są stosowne do wszelkich przedmiotów bielizny, wykończone zaś z czarnego jedwabiu lub z grubéj kręté, bawełny białéj albo piaskowéj i naszyte na kolorowéj wstążce służą jako ładne oszycie do sukien, kaftaników, fartuszków i t. p.

Rycina 4 przedstawia wstawkę z dwóch rzędów roboty na widełkach, spojonych środkiem jednym rzędem szydełkowéj roboty. Rycina 5 podaje wstawkę składającą się z jednego rzędu roboty na widełkach, stanowiącego środek i obrobionego z brzegów szlaczkiem frywolitowym. Szczegóły łatwéj roboty oznaczają dokładnie ryciny.

N. 6. Koronka z brzegiem dzierganym. Wyszycie na tiulu. Na rycinie 6 podajemy gustowny deseń koronki, wyszywanéj łatwym ściegiem na tiulu, stanowiącéj ładne zakończenie wszelkich garnirunków i w dzisiejszym numerze zastosowanéj do kołnierzyka rycina 7. Wszystkie kontury wywodzone są glansowanemi nićmi lub bawełną do haftu N. 40, następnie wyszywa się podług wzoru. koronkowemi nićmi N. 80, gałązki kwiatów, wywodząc tam i napowrót. Dzierganie brzegów i węzełki odrabiają się glansowanemi nićmi.

N. 7. Wykładany kołnierzyk i rękawki. Podług koronki podanéj na rycinie 6 łatwo będzie ułożyć deseń odpowiedni na wykładany kołnierzyk. Rycina 7 wskazuje gałązki ułożone w bukiecik zajmujący tło ranwersów brzegi zaś są prosto odziergane. Takież dzierganie stanowi brzeg górny paska od kołnierzyka i rękawów, również przytwierdza brzegi marszczonéj koronki, 7 i pół cent. szerokiéj otaczającéj mankiety. Mankiet 25 cent. szeroki wszyty jest do paska takiejże długości 2 i pół cent. szerokiego, zaokrąglonego podług ryciny 7 od 5 do 1 cent. Rękaw liczy 38 cent. szerokości i 32 cent. długości. Wstążka kolorowa 3 i pół cent. szeroka upięta jest w ładną kokardę i zakrywa przytem paski od kołnierzyka i rękawków.

N. 8. Krawatkowy kołnierzyk. Część kołnierzyka otaczająca szyję składa się z prostego, haftowanego paska od dołu oszytego szeroką koronką, od góry trochę w szyciu ściągniętego i oszytego węższą koronką marszczoną. Część krawatowa oszyta wstawką haftowaną i szeroką koronką, wymaga kawałka muślinu około 36 cent. szerokości a 18 cent. długości, z obu brzegów ściętego skośno na 25 cent. w górze. Złożywszy materjał na połowę, wykrawa się podług wzoru dwa odznaczające się zęby, zostawiając ku środkowi 15 cent. materjału, ściętego stopniowo od 5 — 7 cent. szerokości, z którego układa się kontrafałda. Po ułożeniu fałdy łączy się kołnierzyk z paskiem od szyi i ozdabia kolorową kokardą.

N. 9—10. Dywan i stolik do szycia ozdobiony haftem.

Materjał na dywan: szare żaglowe płótno, czarna, niebieska i pąsowa plecionka wełniana 1 i pół cent. szeroka, pąsowy wełniany sutasz, zielony, żółty, czarny, biały, lila, pąsowy i morderowy jedwab.

Stoliczek do szycia, opatrzony wiekiem i podnóżkiem, odrobiony z drzewa ciemno politurowanego, przedstawiony jest otwarty i zamknięty na ryc. 9 do 10. Między dwie boczne ściany stolika, wsparte na 4 nóżkach, oprawiona jest czworokątna szkatułka, 11 centym. głęboka, z wypukłem, ruchawem wiekiem.

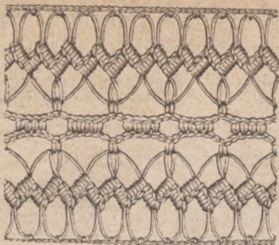
Szkatułka podzielona jest na różnéj wielkości przegródki, przeznaczone na przyrządy i drobiazgi potrzebne do robót.

Umiejętne i zręczne ręce znajdą tu pole popisu, przyozdabiając przykrywki przegródek malowaniem na drzewie, lub sposobem nakrapiania. Deseń pasa zdobiącego środek wieka podaje w naturalnéj wielkości ryc. 11, pas ten wyszyty jest na kanwię trzema zielonemi kolorami. Takiż pas stanowi pokrycie na wysłany podnóżek, umieszczony między nóżkami stolika.

Dywanik z szarego żaglowego płótna, na którym stoi stoliczek jest 90 cent. długi i 80 cent. szeroki. Szlak z kratką po środku, którego wzór w przyszłym podamy numerze, naszyty jest z brzegów czarną i niebieską wełnianą plecionką. Czarna plecionka przyszyta jest ściegiem krzyżowym, zielonym jedwabiem, rzuciki z czterech dzierganych ściegów są koloru pąsowego, żółtego, niebieskiego i białego. Na niebieskiéj plecionce przyszytéj żółtym jedwabiem, rzuciki czarne z białym liczą tylko po dwa ściegi. Kratka, na którą wyciąga się 8 nitek, wiązana jest środkiem pąsowym jedwabiem. Wewnętrzny szlak stanowi sutasz pąsowy, morderowem wy-



N. 1 Sukienka z karoczkiem. N. 2. Ubranie ze stanikiem z baskiną i tuniką. N. 3. Sukienka formą „princesse".


N. 4 Wstawka robotą na widełkach i szydełkową.

szyciem oddzielony od niebieskiej plecionki. Narożniki wyszyte są pąsowym sutaszem a rozeta środkowa czarną niebieską i pąsową plecionką.

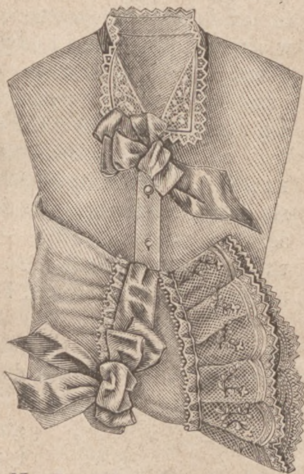
Frendzla może być wysiepana z płótna lub przyszyta osobno w kolorze czarnym albo szarym jak płótno żaglowe.

N. 11. Szlak krzyżową robotą, do pokryć na meble dywanów, portier, koszyków i t. p.

Deseń naśladujący adamaszek na wzorze opisywanym przez nas składał się z trzech cieni zielonych. Kontury i środki deseniu odrabia się ciemniejszemi cieniami, tło zaś najjaśniejszym. Deseń taki można również wykonać pluszową robotą, podaną przez nas w poprzednich numerach.

N. 12—18. Kołnierzyk, wolant i oszycie z koronki irlandzkiéj.

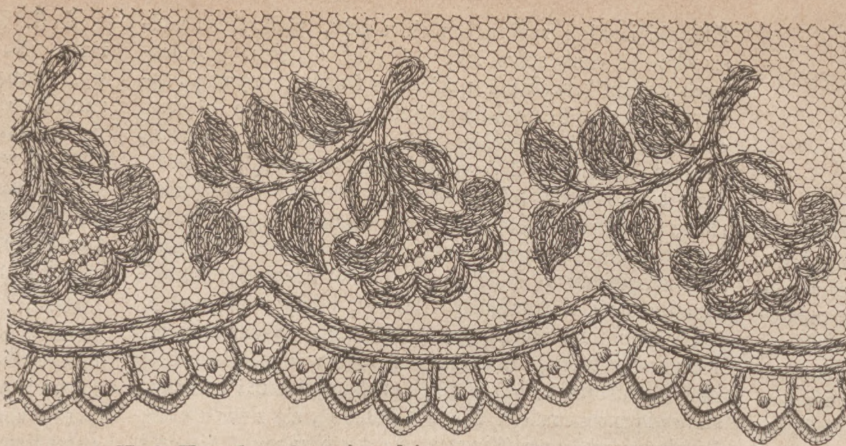
Wstawka podana na rycinie 12, odrobiona z cienkiéj płaskiéj plecionki z bawełny czy jedwabiu czarnego lub na kolorowem podłożeniu, służyć może do bielizny, chusteczek, bluzek, sukien itp. Szczegółowych opisów nie podajemy, gdyż wzory przedstawiające desenie w naturalnéj wielkości, będą dostateczne przy robocie.

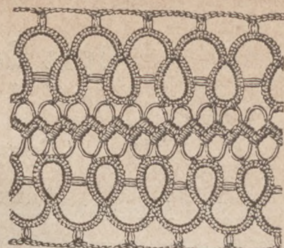

N. 7. Wykładany kołnierzyk i rękawki. Wyszycie na tiulu. Patrz N. 6.

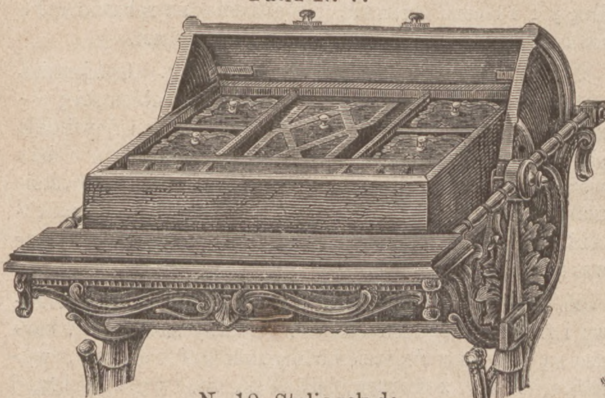
N. 19. Kaftanik z greckiemi rękawami.

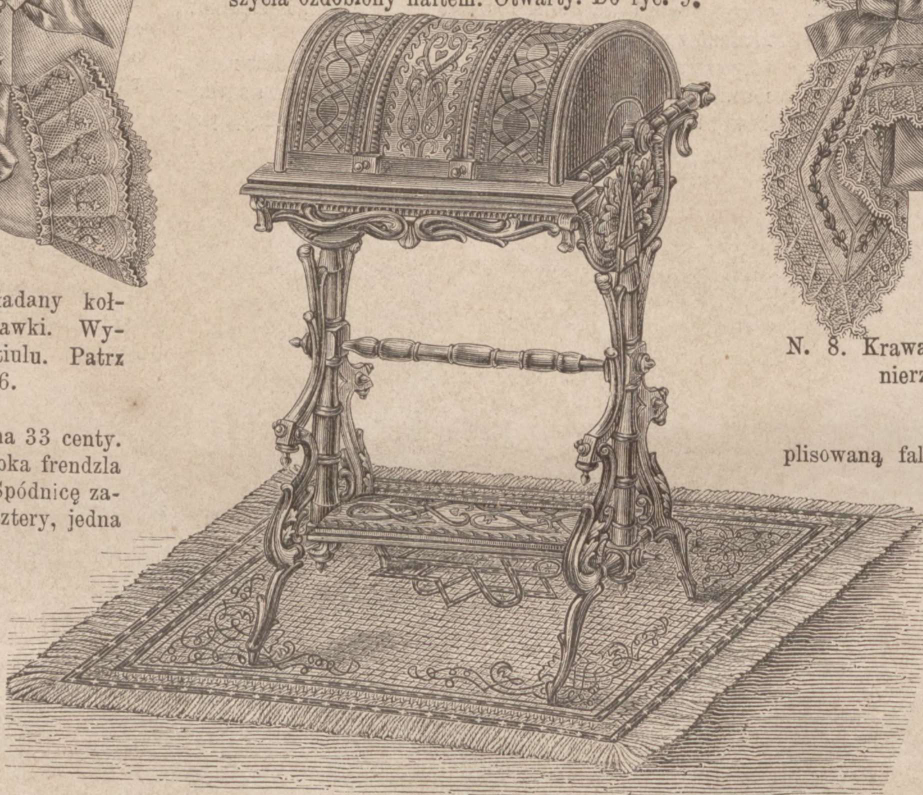
Kaftanik z tyłu trochę wcięty z przodu puszczony, odszyty z czarnego kaszmiru na jedwabnéj podszewce ma rękawy greckie, 72 cent. szerokie u dołu, roztwarte na 33 centy. wzdłuż. Przybranie składa 6 centym. szeroka frendzla i bogate wyszycie ze sznurka lub sutaszu. Spódnicę zakończają dwa marszczone wolanty skośne i cztery, jedna na drugą zachodzące plisy. Mankiet przy rękawie stanowi wolant skośny, ułożony w kontrafałdy, przeszyty plisą stębnowaną.

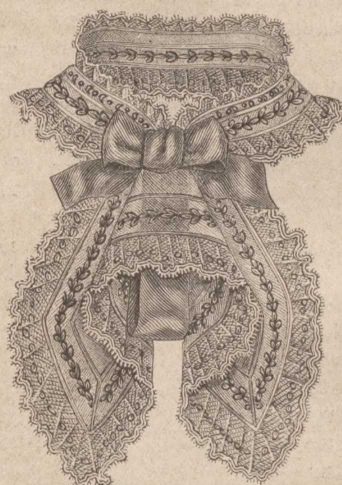
N. 20. Ubranie z vêtement w rzucik. Spódnica na naszym wzorze jest z materji jednokolorowéj a vêtement przepięte paskiem, z materjału jaśniejszego tego samego koloru co spódnica w rzut z kwiatów. Wolant 27 cent. szeroki wycięty jest w zęby z pod których wygląda od dołu gładki, 16 centym. szeroki wolant, przyszyty niewidocznemi ściegami. Po nad wolantem dane dwie 7 cent. szerokie plisy i 2 cent. szeroka riusza. Na vêtement dwie przednie części 100 cent. długie i 91 cent. u dołu szerokie, krają się razem z bocznemi. Tylna część składa się z dwóch prostych po 121 cent. długich i 81 cent. szerokich brytów, które się łączą tylko z plecami stanika, środkiem zaś podpięte, a z boków przefałdowane do 53 cent. długości. Przybranie stanowi riusza, 8 cent szeroka ułożona w kontrafałdy, przeszyte z brzegów wązkiemi rulonikami jedwabnemi. Rękawy wązkie do łokci, oszyte są falbaną 80 cent. szeroką. Pasek z kolorowéj materji.


N. 6. Koronka z brzegiem dzierganym. Wyszycie na tiulu Patrz N. 7.


N. 5. Wstawka robotą na widełkach i frywolitową.


N. 10. Stoliczek do szycia ozdobiony haftem. Otwarty. Do ryc. 9.

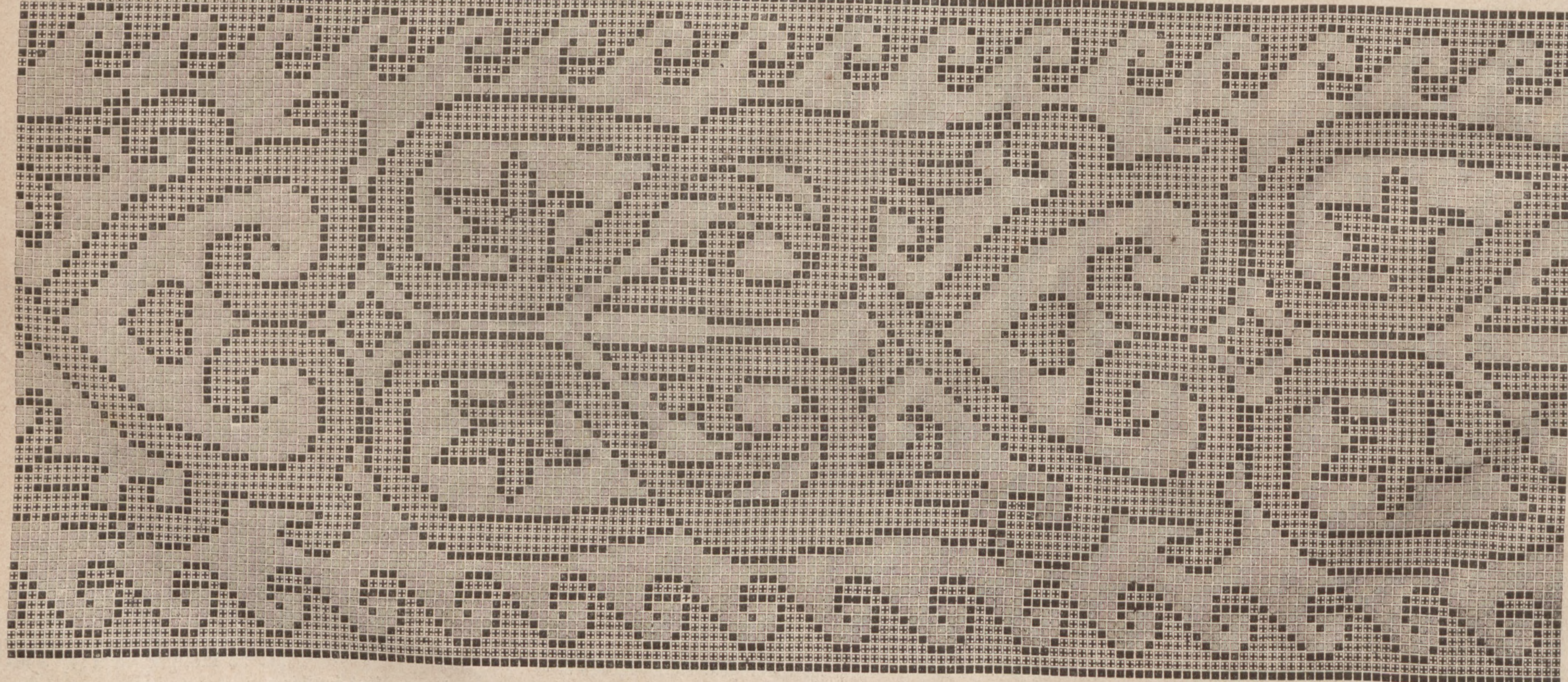

N. 9. Stoliczek do szycia ozdobiony haftem. Zamknięty Zob. ryc. 10 i 11 oraz ryc. 27 i 28 w N. 39 T. Mód.

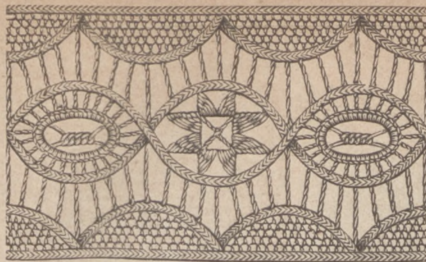

N. 8. Krawatkowy kołnierzyk.

N. 21. Suknia zakończona plisowaniem.

Suknia dopełniona tuniką i paskiem z karoczkiem odszyta jest z piaskowéj grenadiny. Na spódnicy trochę powłóczystéj naszyty jest wolant plisowany 62 cent. szeroki z nagłówkiem 5 i pół cent. szerokości, którego fałdy zaplisowane w jedną stronę, przestębnowane są dla mocy w odległości 16 cent. od brzegu. Tunika podpinana z tyłu, skrojona podług formy podanéj w N. 32 na rycinie 35 i 38 jest z przodu 61 z tyłu 116 centy. długa, a w około 270 do 300 cent. szeroka, oszyta plisowaną falbanką 10 i pół cent. szeroką. Materjał na stanik i karoczek zaszywany jest w fałdy 1 cent. szerokie. Falbanka do pół otwartych rękawów liczy 7 centym. szerokości. Karoczek wymaga kawałka materjału 20 cent: długości a 66 centy: szerokości, z któréj ułożona kontrafałda zmniejsza szerokość do 18 centymetrów.

N. 22. Suknia batystowa z haftem gipiurowym. Trochę powłóczysta suknia z białego pół batystu jest 164 centy. w górze, 374 cent: u dołu szeroka, z przodu 99 z tyłu 125 cent.


N. 11. Szlak do mebli, portjer i t. p. Robota krzyżowa. Deseń użyty do ryc. 9 i 10.



N. 12. Szlak i koronka irlandzka z cienkiéj plecionki.



N. 13. Narożnik do kołnierzyka. Koronka irlandzka.

N. 14. Rękawek z tiulu i koronki irlandzkiéj. Do kołnierzyka ryc. 16.

N. 15. Połowa falbany do rękawka N. 14.



N. 16. Połowa krawatkowego kołnierza. Patrz ryc. 14—15.



N. 17. Szmizetkowy kołnierz z kokardami zob. ryc. 18.

długa. Garnirunek 42 centym. szeroki ozdobiony haftem składa się z falbanek objętych pliską, przystębnowaną z zakładek i 3 cent. szerokiéj wstawki. Trochę przymarszczone falbanki proste 10, 8 i 6 centy. szerokie obrąbione na $^{2}/_{4}$ cent. Przedni bryt 64 centym. długi, 25 u góry a 103 u dołu szeroki, ma zastębnowane 4 zakładki po 1 cent. szerokie, w odstępach 1 i pół c.



N. 18. Połowa szmizetki do ryc. 17. Koronka irlandzka.



N. 19. Kaftanik z greckiemi rękawami.



N. 20. Ubranie z vêtement w rzut kolorowy.

Tunika w zakładki odszyta 300 cent. szeroka przedłuża się z tyłu do 110 cent. Haft zakończający w około vêtement, rękawy i bluzkę, składa się ze wstawki, tej co przy spódnicy szerokości i ze szlaku 4 cent. szerokiego. Zakładki na staniku w kształcie szmizetki są tylko po pół cen. szerokie, w odstępach $^3/_4$ cent. Kołnierzyk ozdobiony wązkim haftem ma 1 i pół cent. szerokości. Pasek, kokardy i szarfy zdobiące suknię są z niebieskiéj rypsowéj wstążki.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Konserwa z brzoskwiń.

Wybierz brzoskwinie jeszcze zielone ale dosyć jednak dojrzałe, tak żeby pestka odchodziła, obierz ze skórki cienko, poczem każdą brzoskwinię włóż w czyste naczynie z zimną wodą; jak wszystkie są już obrane, postaw na wolnym ogniu w téj saméj wodzie i gotuj zwolna póki nie zmiękną, a gdy są już miękkie, wyjmuj po jednéj i kładź do zimnéj wody, dopóki zupełnie nie ostygną. Gdy już zimne będą wyłóż na salaterki, ugotuj s y r o p lekki, ostudź i nalej nim brzoskwinie. Po upływie kilku godzin syrop ten zléj z brzoskwiń gotuj tak długo żeby woda którą brzoskwinie puściły, wygotowała się z syropu. Gdy syrop na wpół ostygnie nalej nim brzoskwinie. W pierwszym dniu należy powtarzać trzy razy. Na drugi dzień p o s t a w syrop razem z brzoskwiniami na wolnym ogniu, a gdy zaczną się gotować, z d ę j m, przetrzymaj 8 minut, następnie znowu wstaw na ogień, żeby zakipiało, co ze 3 lub 4 razy powtarzaj. Na trzeci dzień należy gotować syrop z brzoskwiń do zwyczajnéj gęstości, uważać tylko trzeba aby dobrze wyszumować, za każdym razem jak z ognia zdejmiesz, nie kłaść w słoje póki nie zastygną zupełnie.

Morele i renklody tak samo się smarzą.

Przepis ten pochodzi z notat własnoręcznych jednego z Warszawskich cukierników, dziś już nieżyjącego.

Konfitura z bani.

Obrać banię nie przejrzałą, wydrążać łyżeczką od kartofli i włożyć w syrop złożony z k w a r t y octu, cukru, trzech funt ó w skórki cytrynowej i pomarańczowej wanilii (wychodzi 3 funty gałek z bani) i smarzyć póki nie będą przezroczyste.



N. 21. Ubranie z plisowanemi falbankami.



N. 22. Suknia batystowa z haftem gipiurowym.